

Krucze Uroczysko

Autor: Piotr Grochowski

*Bądźcie dla mnie łaskawi, o Patroni,
Wy których jest Trzynastu Spętanych w Błogosławieństwie.
Pobłogosławcie mi,
gdy imiona Wasze wypowiadam,
w uświęconym z dawien dawna porządku:*

*Pierwszym do którego wysyłam swe modły jest Albus, Pan Życia, Patron Zdrowiejących.
Drugim – Vant, Pan Przesztorzy.
Trzecią Stea, zarazem Pierwsza ze Świadczących.
Czwartą jest Verdetia – Pani Dzikiej Przyrody.
Piątym jest Protejus, Pan Wojny, opiekun żołnierzy i zwycięstw bitewnych.
Szóstym – Soares, zarazem Drugi ze Świadczących.
Siódmą jest Roza, Patronka Miłości i opiekunka rodziny.
Ósmym – Mar, Pan Urodzaju.
Dziwiątą spośród was jest Semiluna – Trzecia i zarazem ostatnia ze Świadczących.
Dziesiątym jest Galben, Złotodzierzca.
Jedenastym jest Bleuius – Pan Mórz.
Dwunastym – Vremes, Pan Losu.
Trzynastym, i ostatnim zarazem, którego imię sławię, jest Cranius – Pan Dobrej Śmierci.*

*Wierny Wam będę po kres dni moich,
a dzieci moje wyuczę tak,
by Was wielbiły i składały Wam dary.*

*Patroni nasi, wszak Legari Lantis,
którymi Pierwszy z Cesarzy dokonał Pierwszego Spętania,
a po nim dwukrotnie jeszcze Spętani zostaliście,
nieprzerwanie oplatał, oplata i oplatać będzie losy nasze.*

*Oby trwał w nieskończoność z Wami,
przez Was i ku Wam zwrócony – Cesarz,
ten który zdołał Was Spętać,
i niechaj trwają wszystkie jego kolejne wcielenia.*

*„Pierwsza Modlitwa”
– wyjątek z
Wielkiego Zwoju Trzeciego Spętania.*

Prolog

W miejscu, gdzie przyszedł na świat i gdzie się wychowywał, powtarzano słowa *orc blut vremez, uns ax vremez*. Ludzie tłumaczyli je różnie, zwykle wzniosłe przedstawiając to zdanie, jako krasnoludzką deklarację wojenną, skierowaną do mrocznego, orczego gatunku. Słowa, które znał kiedyś bardzo dobrze, a które później czas zatarł w jego umyśle, dzisiaj, w tej właśnie chwili, kołatały w jego głowie, pulsowały razem z krwią w żyłach.

– Czas orczej krwi, czas naszych toporów. – Zdławił przekleństwo, chrapliwie mruknął i splunął krwią. „Dużo jej”, przebiegło mu w myślach.

Przeklął, tym razem głośno i wyraźnie. Płuco musiało być uszkodzone. Żebra z całą pewnością zmiażdżone. Noga w strzępach. Ale przez lata nabrał twardości, teraz pewnie byłby w stanie chodzić i walczyć nawet na okrwawionych kikutach.

W ciągu godziny wszystko trafił szlag. Spętani, jeśli istnieli, zapewne rechotali teraz w swej Otchłani, ubawieni losem bandy awanturników.

„Drużyna?”. Pomimo bólu uśmiechnął się gorzko. „Wolne żarty. Gdzie teraz jest dumny rycerz? Z połamanymi kulasami mógł odczołgać się ledwie kilka kroków, zanim go dopadli. Pół-shaeidańskiemuⁱⁱ bękartowi musiały skończyć się strzały. I wówczas dostali też tego cwaniaka. Potężny Władca Ziemi? Zniknął, jak tylko zaczęło się robić nieprzyjemnie. Od początku był podejrzany. Ale szczytem wszystkiego było zatrudnienie drugiego czarodzieja. Tfu! Zaledwie ucznia czarodziejskiego fachu”.

Wtedy ich usłyszał. Z kilku stron wspinali się na zrujnowana wieżę. Bulgotliwie wymieniali między sobą uwagi i pokrzykiwali na siebie w Czarnej Mowie.

– To już – szepnął, zaciskając dłonie na stylisku obosiecznego topora. – Czas posmakować waszej krwi.

Ziggo Bragg z Eisen Taar, doświadczony krasnoludzki wojownik, wykopał zdrową nogą drewniane drzwi, by zaraz po tym, klnąc i wyjąc z bólu, rzucić się do przodu. Ciął z góry i rozplątał czaszkę pierwszego z orków. Wtedy rzucili się na niego ze wszystkich stron.

I – Trudne początki

Gdyby nie ciemności i to cholerne błoto, Rag nie trafiłby na arkusz traktujący o zleceniu. O zleceniu i wyznaczonej za nie nagrodzie. Kawalek natłuszczonego papieru wisiał na filarze u wejścia do zajazdu. Przybity niedbale zakrzywionym i zardzewiałym gwoździem z całą pewnością tygodnie lub miesiące wcześniej. Tekst był już raczej z tych mniej czytelnych. Vremesⁱⁱⁱ miał jednak, jak widać, plan wobec młodego szlachcica. Ubłocone buty trafiły na niszczące schody, co zaowocowało utratą równowagi, stłuczeniem rzyci i siarczystą wiązką nordyjskich^{iv} przekleństw. Gdy Rag podnosił się z ziemi, całkiem przypadkowo spojrzął na ów papier. I zaczęło się.

Z arkuszem w garści pojawił się przed karczmarzem, żądając informacji na temat zlecenia. Siwiejący, potężnie zbudowany mężczyzna oderwał się od porządkowania kontuaru i spojrzął na ubłoconego i mokrego rycerza. Płowe włosy, północne rysy i zniszczone odzienie kontrastowały ze srebrnym łańcuchem zawieszonym na piersi i zdobioną głowicą miecza. Niewielu zaglądało tutaj szlachetnie urodzonych, ten zaś był co najmniej egzotycznego rodzaju.

– Zlecenie jak zlecenie, drogi panie – mruknął. – Pewnikiem już, jak to mówią, nieaktualne.

– Jakżeż to? – Nord spochmurniał. – Piszą tutaj o nagrodzie za ujęcie heretyka, czarownika. Pojmał go już ktoś, albo zabił? Jeśli tak jest, czemuście nie zdjęli wiadomości?

– Nie w tym rzecz, mości rycerzu. Żadnej pewności nie mam, czy mag żyw czy ubity. Wiem, że ze trzy miesiące temu inkwizytor Cesarskiej Świątyni Trzynastu w tamte strony pojechał, ze świtą. Znaczną, ze dwa tuziny zbrojnych naliczyli ci, co widzieli jego orszak. I drugie tyle kapłanów i służby.

– Więc...

– No, pewno czarodziej ziemię już gryzie, lub jego prochy nad bagnami się unoszą... – Karczmarz wymownie zadarł głowę w górę, a kiedy jego wzrok padł na sufit, mrugnął oczyma i ponownie spojrzął na szlachcica. – Próżny wasz trud, panie. Dajcie to zlecenie, do pieca z nim, co by już nikogo nie wprowadziło w błąd...

Rag spojrzął na wyciągniętą dłoń oberżysty i skrzywił się. Popatrzył na swoją, w której dzierzył nieszczęsny papier. Drugą ręką potarł obolały zad. I uśmiechnął się pod nosem.

– Droga ta, co przez wasze miasteczko prowadzi z Cesarstwa na Pogórze, najpewniejsza jest i najszybsza?

– Ano, dobrze prawicie, panie. – Zapytany pokiwał głową.

– W zleceniu mowa jest o bagnach Ringen. – Rycerz patrzył bystro na siwiejącego karczmarza. – Słyszałem, że to nie jest aż tak daleko stąd.

– Będzie ze dwa tygodnie, czasami i trzy, jak Trzynastu^v niepogodę sprowadzi na szlak. O cóż wam, panie, chodzić może? – W głosie starszego mężczyzny znużenie pytaniami szlachcica zaczęło zanikać, pojawiła się za to ciekawość.

– A widział kto wracający orszak inkwizytora? Lub jakiegoś posłańca, co przodem jedzie, by głosić chwałę i zwycięstwo kapłańskie? Bo tak mi się widzi, że jakby wszystko poszło dobrze i zlecenie było już nieaktualne, dawno byś o tym wiedział, gospodarzu. Ty i każdy w tym miasteczku na szlaku.

– Coście tak zmarkotnieli, panie szefie? – Z końca kontuaru, z miejsca, gdzie nie sięgało światło świec i ogarków, rozmawiających dobiegł niski głos. – Nalejcie panu szlachetnie urodzonemu wina jakiegoś, i mi polejcie jeszcze, tylko w proporcjach: mniej wody, bo śmierdzi jak w świątynnej łaźni, a więcej wina.

Rag wbił wzrok w półmrok, marszcząc brwi. Bluźnierca właśnie zapalał fajkę. Miał na głowie lekki kaptur. Karczmarz skwapliwie ruszył realizować zamówienie, a robił to szybko, bo po kontuarze potoczyło się kilka srebrnych monet obitych na cesarsko^{vi}. Zakapturzony mężczyzna podniósł się z miejsca i po kilku krokach znalazł się w zasięgu światła.

– Ja myślę podobnie jak wy, szlachetny panie, że cesarskim jakoś nie wszystko wyszło. – Mężczyzna zdjął kaptur i wyciągnął rękę na powitanie. – A że na zleceniu, o którym konwersowaliście z właścicielem tego przybytku, pieczęć gildii kupieckiej jest i to nie byle jakiej, nabieram ochoty na nagrodę.

Rycerz uściśnął dłoń nieznanego. Ten zaciągnął się dymem z długiej kościanej fajki i wypuścił go. Nozdrzy Raga doszedł przyjemny zapach przywodzący na myśl południowe kraje.

– Upraszam o niekaranie mnie, panie, za brak manier. – Nieznajomy błysnął oczami spod grzywy czarnych włosów. – Zważ mnie Szrama. Koryntiasz Szrama.

Szlachcic doskonale rozumiał, skąd wziął się przydomek. Twarz ciemnowłosego, choć skryta pod obfitym zarostem, oszpecona była dwiema paskudnymi bliznami biegnącymi od lewego ucha do prawego policzka.

– Ragnar, dziedzic grodu Svero. Południowa część Księstwa Talynnu. Towarzysze mówią do mnie Rag.

Szrama skłonił głowę. I uśmiechnął się.

– Niechże Spętani dadzą mi możliwość zwracania się do ciebie, panie, tym zdrobnieniem. Rad byłbym. Sam jeden siedzę tutaj już tydzień. Jak na złość żaden, nawet najbliższy awanturnik nie kwapi się pojawić – i oto Vremes zsyła mi was. Nagroda dla mnie, a sława i honor dla ciebie, panie?

– Zabawny z was człek, panie Koryntiaszu. – Rycerz rozpromienił się. – I jaki obyty na dworach, co wnoszę po kulturze słowa.

– Mówcie mi Szrama, panie – rzucił czarnowłosy, pomijając uwagę o „kulturze”. – To jak będzie?

Karczmarz w tym właśnie momencie podał wino, dorzucając suszone mięso do zagryzania. Szrama, widocznie obeznany w zaopatrzeniu zajazdu, złożył szybkie zamówienie, po czym wrócili do rozmowy.

– No cóż... – Szlachcic upił z kubka i skrzywił się potwornie, a Szrama pokiwał głową ze smutnym zrozumieniem. – Dwie osoby, jak by wyszkolone nie były, same rady nie dadzą.

– Widzisz, panie Ragnarze... – Ciemnowłosy pyknął z fajki i uśmiechnął się pod nosem. – Z tym brakiem awanturników w tych stronach to ja trochę skłamałem.

Miasteczko spowiła wieczorna mgła ciągnąca znad okolicznych mokradeł. Chłód był przejmujący, więc Jeremiasz Galbo mocniej otulił się płaszczem i nerwowo splunął na próg magazynu. Ku jego uciesze, dobiegł go odgłos kroków. Chwilę później pod zniszczony drewniany budynek podeszła dwójka ludzi. W jednym z nich rozpoznał Szramę, drugiego, wysokiego i szczupłego widział po raz pierwszy. Szrama jak zwykle wyglądał, jakby wybierał się na polowanie na cesarskich ziemiach: niósł łuk i kołczan na plecach, a na sobie miał skórzane ubranie niekrępujące ruchów. Na cesarskich *vanajagt^{vii}* trzeba umieć polować, trzeba mieć celne oko i szybki krok. Zwłaszcza wybierając się tam bez pozwolenia.

Ten drugi raczej nie zajmował się myślistwem, czy też kłusownictwem. Miał długi i szeroki miecz przy pasie, okute buty i ciężki płaszcz uszyty do walki. Na jasne, długie włosy założył kolorową chustę, ale do boju zapewne zarzucał na głowę kolczy czepiec, który spoczywał na jego karku. Przez plecy przewieszoną miał skórzaną sakwę. Wystawało z niej zawiniątko. Jeremiasz oczyma wyobraźni prawie dojrzał ukrytą tam, jakąś potężną broń.

Szrama przerwał jego rozmyślenia, wyciągając rękę na powitanie i wskazując na nieznajomego.

– Jego rycerska mość, pan na zamku Salvo, nordyjski szlachcic, pan Ragnar.

Tytułowany nieznajomy przewrócił oczami.

– Nie pan, a dziedzic na zamku – poprawił słowa Szramy. – A zamek mojego ojca zwie się Svero, panie Koryntiaszu.

Galbo pokiwał głową i rzekł:

– Tak czy inaczej, jestem pod wrażeniem. Mnie nazywają Galbo, Jeremiasz mam na imię. – Przywitał się ze szlachcicem i spojrzał z uśmiechem na Szramę. – Mam rozumieć, panie Koryntiaszu, że kompania w komplecie?

– Mówcież mi Szrama. – Zagadnięty udał oburzenie, patrząc na obydwóch rozmówców. – A co do twojego pytania, to się okaże. Ale pan Ragnar na pewno wzmacnia reputację drużyny. No i siłę bojową, rzecz jasna. Prowadźcie, Jeremiaszu, do środka.

Trójka mężczyzn pokonała krótki ciemny korytarz i weszła do dużego pomieszczenia, w którym zapalono kilka pochodni, a ciepło zapewniał okazały kominek. Niezbyt ładny, ale z całą pewnością solidny. W izbie przy niskim zaimprovizowanym stole przykrytym kilkoma wilczymi skórami wieszano dwójkę ludzi.

Jeden był potężny, mierzący grubo ponad cztery łokcie^{viii}, szeroki w barkach i ogolony na łyso. Na plecy narzuconą miał szarą tkaninę, pokrytą dziwnymi mistycznymi wzorami. Podobne wzory wytatuowane były na jego czaszce. Drugi wyglądał jak karczemny posługacz. Odziany był na czarno, w tunikę przewiązaną sznurem.

Mężczyźni na chwilę przerwali posiłek. Jeremiasz stanął na środku izby.

– Panie Ragnarze – zwrócił się do rycerza – oto nasze wsparcie w kwestii duchowej i w kwestii wiedzy tajemnej. Panowie Paulus Brega i Gaspar Vittel.

Rag uśmiechnął się pod nosem. Spojrzał na bacznie mu się przyglądających Szramę i Galbo. Oczywiście było, że przy rycerzu nie chcieli użyć określenia „czarodziej” lub „magowie”. Co prawda minęły już cztery wieki, lecz nadal obowiązywał nakaz cesarski, by każdego napotkanego czarownika nabić na pal lub przynajmniej spalić na stosie. Wieść niosła, że sam cesarz czasami zasięgał rady tajemniczych magów i planował znieść zakaz praktykowania czarodziejstwa, lecz póki co wspomniane prawo było nadal w mocy. Co oczywiście nie przeszkadzało drużynom awanturników zatrudniać ludzi, którzy umieją sporządzić magiczne lekarstwo, odczytać tajemną wiadomość czy chociażby posłać na wrogów kulę ognia lub przekleństwo. Szlachcica ciekawiło, do czego był zdolny olbrzym o imieniu Paulus... Ale jeszcze bardziej intrygujące było dla niego, co potrafił młody chłopak, ledwie kilkunastoletni, którego przedstawiono jako Gaspara.

Magowie podnieśli się i przywitali z przybyłymi. Rycerz bez wahania uściśnął twardą dłoń olbrzyma, a zaraz potem prawie zmiażdżył wątłą dłoń młokosa. Szrama i Jeremiasz rozchmurzyli się, widząc, że obecność czarodziejów nie stanowiła problemu dla rycerza, pewnie wiernie służącego Cesarstwu. Rozwiewając resztki ich wątpliwości, Rag odezwał się:

– Wszyscy bodaj wiemy, wierząc słowom legendy, że cesarz miał powody, by czarodziejom nie ufać. I mimo upływu czasu jego następcy i cały lud Cesarstwa nadal magikom nie pozwala na swobodne życie. Jednak tam, skąd pochodzę, na Północy, magia nie była i nigdy nie będzie problemem. Pomimo iż książę mój, Harred, jest sojusznikiem Cesarstwa, ja jestem rycerzem Wolnego Księstwa Północy. Towarzystwo stanu czarodziejskiego nie jest mi wrogiem.

Po czym skłonił lekko głowę ku magom, a ci z radością odwzajemnili pokłon, zadowoleni widocznie, iż nazwano ich członkami *stanu*, co zwykle zarezerwowane było dla rycerstwa i warstwy bogatych mieszczan.

Jakby w rewanżu zaraz po zaproszeniu do stołu Paulus niskim, przyciszonym głosem zwrócił się do rycerza:

– Rad jestem, że do kompanii trafił nam się tak świątły szlachcic. Jeśli taka potrzeba zajdzie, a – jak mniemam – tak właśnie będzie, możesz, panie, liczyć na potęgę mojej mocy, która pozwala mi władać żywiołem ziemi.

– Na mnie, cny rycerzu – dorzucił młokos, siedzący obok – też możesz polegać, choć dopiero się uczę czarodziejskiego fachu.

Szrama zachłysnął się rozcieńczonym winem, a Jeremiasz Galbo, słysząc to wyznanie, tylko jęknął.

Jeszcze jedna osoba dosłyszała kilka ostatnich słów wypowiedzianych w magazynowej izbie. Niski, barczysty osobnik stojący w drzwiach, mruknął w głębi swojej długiej, gęstej brody:

– No to, kurwa, pięknie. Mamy drużynę ze świątłym blond szlachcicem, łowczym, grubasem w płaszczu, władcą kamieni, których pewno nie uświadczymy, szczególnie że droga prowadzi przez bagna, oraz „dopiero uczącego się” czarodzieja... – Krasnolud poprawił wielki obosieczny topór na ramieniu i powtórzył: – Po stokroć, kurwa, pięknie.

– Zapraszam. – Ziggo Bragg, krasnoludzki wojownik, pogłaskał stylisko swojego topora, uśmiechając się paskudnie. – To może być nawet ciekawe.

Naprzeciwko niego stanął jasnowłosy rycerz, a za jego plecami błysnął sztyletem brodaty chudzielec. Gruby jegomość nie odzywał się, mocno zaskoczony. Chłopak w czarnej tunice też nie wyglądał na chętnego do walki. Zupełnie z tyłu potężnie wyglądający łysol ukląkł i dotknął dłońmi kamiennej podłogi. Daleko w dole, pod fundamentami magazynu coś drgnęło, zrazu lekko, by zaraz potem przenieść drgania na ściany budynku.

Jeremiasz Galbo przezwyciężył suchość w gardle i odezwał się donośnie, z zuchwałością w głosie:

– Coście za jeden? I jakim prawem wkraczacie do mojego magazynu? Pomijam już wasz niewyparzony język. Gadajcież!

– Bragg mam na nazwisko. A na imię dała mi mateczka Ziggo. Powiadają, że to imię ma mnie zaprowadzić na najwyższe skalne twierdze, bym tam wykazał się odwagą i kunsztem w walce. Ale widzę, że na razie Los ma wobec mnie inne plany. I wy mi się trafiliście. I żadnej szansy na skalne twierdze.

– Kto wam, panie, takich bzdur naopowiadał? Przecież z waszą posturą na żadną twierdzę nijak się nie wdrapiecie. Musi być jakaś pomyłka. I albo pomylił się Los, albo wasza matuszka – syknął Szrama, bawiąc się sztyletem. A drganie nabierało mocy.

– Mów dalej, kłusowniku. – Krasnolud uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Dawnom nie walczył, będzie z kilka dni. Za bardzo na was nie poćwiczę, ale to zawsze coś...

– Uspokójcie się, jeden z drugim – warknął szlachcic, nie spuszczać wzroku z krasnoluda. – Kto wam, panie Bragg, powiedział, że gdzieś z nami pójdziecie? Hę? No kto?

– W zastępstwie pójdę, nie żebym się sam do tego palił, bo widzę, że łatwo nie będzie. Alem złożył przysięgę. Słowo honoru i uścisk dłoni. Wyście pewnie Galbo? – Spojrzał na Jeremiasza, ignorując trzeszczące ściany.

– Na Vremesa – westchnął ze zrozumieniem zapytany. – Przysyła was Luciusz Flegel z Grimm. Wiedziałem, że mnie nie zawiedzie. Z tym że miał tu być osobiście. Przydałby się.

– Flegel kulasy połamał, jak walczył w katakumbach pod Dragatusem. Wygrał potem jeszcze ze dwie walki i niezłą sumę. Ale do przyjazdu tutaj się nie nadaje. Przynajmniej przez jakiś czas. A żem nieopatrznie, napity, jakieś deklaracje złożył i swoim słowem poświadczył, to mi nie wypadło go nie zastąpić. Wytrzeźwiałem i jestem. Ale żałuję, że spirytus był tak słaby.

– Przestańcie psioczyć. – Rycerz wydawał się zdenerwowany. – Mogę zdjąć z was, jako najwyższy stanem, tę przysięgę...

– Portki se możesz zdjąć, syneczku, co byłoby wskazane, na ten przykład, jak w krzaki idziesz... – przerwał mu krasnolud. – Słowo honoru to słowo. Zęby zacisnę i pójdę. Może któremuś żywot ocalę przy okazji.

– A zaciskajcie, ile możecie, póki je macie. – Szlachcic puścił mimo uszu słowa Bragga. – Każdą pomoc przyjmiemy, byle się nie okazało, że wasza gęba większa od topora.

Nord spojrzął na skulonego przy ziemi łysola i mrugnął do niego. Drganie ustąpiło, a olbrzym podniósł się z kolan. Obecni w izbie schowali broń. Krasnolud, jak gdyby nigdy nic, siadł za stołem i sięgnął do prawie pustej misy z mięsiwem, nalał trunku z dzbana, w międzyczasie podejrzliwie go wachając. Rycerz pokręcił głową i zwrócił się do Galbo:

– Jako że wyście tutaj gospodarzem, zanim powiecie nam, co i jak z planem podróży, zawrzyjcie drzwi do tego przybytku, coby razem z zimnym powietrzem więcej awanturników do izby się nie przyplątało. – Powiódł wzrokiem po zebranych. – Bo coś mi się zdaje, że kompania już w komplecie.

Dziadunio Gobb przetarł łzawiące oczy i westchnął.

„Wzrok już nie ten”, przebiegło mu przez myśl. „Co bym począł bez mojego Cudeńka?” Uśmiechnął się, i mrużąc prawe oko, lewe przytknął do okularu lunety.

„Cudeńko” było delikatnym, misternie wykonanym przez shaidów przyrządem optycznym. Drewna, z którego go wytworzono, próżno by szukać w pobliskich lasach. Ba, zapewne nie znalazłby go żaden drwal na całym Kontynencie. Nikt nie wiedział, jak Gobb

wszedł w posiadanie owej lunety, lecz ludzie gadali, iż pochodziła z Taeir N' Ogix – z Wyspy za Mgłą. I posiadała niezwykle właściwości. Jedną z nich była zdolność do *znikania*. Ilekroć jakiś łasy na łup włamywacz próbował odnaleźć lunetę w domu starca, okazywało się to sztuką niemożliwą. Zresztą od jakiegoś czasu nie było już żadnych włamań, nikt nie próbował niepokoić Dziadunia. Prawdopodobnie ci sami ludzie, którzy z dawna sławili Cudeńko i jego niezwykłości, teraz przestali wierzyć w jego istnienie. Wszak nikt tak po prawdzie nie widział lunety na własne oczy.

Gobb mieszkał w samotni, na szczycie jednego z trzech wzgórz, które wyraźnie wznosiły się ponad puszcze. Każdego poranka wynosił przed chatkę własnoręcznie zbudowany stojak, zydelek, kilka koców, odrobinę jadła i napitku i porcję dobrego tytoniu. Na stojaku z nabożną czcią umieszczał Cudeńko. I cały dzień spoglądał w cztery strony świata. Dawno zapomniał, dlaczego został samotnikiem, jakiemu bóstwu służył i skąd właściwie przywędrował w te strony. Jego życie wypełniała obserwacja.

Starzec cicho wyszeptał dwa słowa w shaeidańskiej mowie. Trzy znaki runiczne na lunecie na moment zaślniły błękitnym blaskiem, a powietrze wypełniła charakterystyczna woń. Dziadunio po prostu uśmiechnął się do siebie. Obraz w lunecie wyostrzył się i znacząco przybliżył. Teraz wzrok staruszka sięgał bardzo daleko, a odległe szczegóły zdawały się znajdować na wyciągnięcie ręki.

Traktem na południe niezbyt szybko jechała grupa konnych. Po kilku chwilach wzbudzili zainteresowanie Gobba.

Przodem, w pewnej odległości od reszty grupy, poruszał się jadący na rączym koniu mężczyzna wyglądający na zwiadowcę lub przewodnika. Ubrany był w podróżny kaftan z długim kapturem, na plecach niósł kołczan, a przy siodle trzymał średniej długości łuk. Co jakiś czas oglądał się na jadących za nim.

Pierwszy w grupie kłusował wysoki, jasnowłosy zbrojny, prawdopodobnie szlachetnie urodzony, na co wskazywał oręż i rycerski łańcuch na szyi. W sakwach przewieszonych przez grzbiet luzaka, którego wiódł za swoim rumakiem, można było zauważyć elementy zbroi. Tarcza była zniszczona, ale Cudeńko pozwoliło starcowi na dokładne spojrzenie. Znaki w polu nie były cezaryjskie, pole miało zaś barwę błękitną. Rycerz zdecydowanie nie był miejscowy. Z blondynem rozmawiał jadący tuż obok niego olbrzym. Ubrany w obfitą, grubą szatę, wyglądał jak mnich. Jego łyśca czaszka kontrastowała z puchowym szalem narzuconym na gruby kark. Mężczyzna ów o dwie głowy bez mała przewyższał szlachcica. Nie miał praktycznie żadnego bagażu, nie widać było także przy nim żadnej broni.

Zaraz za rozmawiającymi jechał chłopiec lub młodzieniec. Ubrany był w powłóczytą szatę, na którą zarzucił lekki kaftan obsyty futrem. Jego koń obładowany był wieloma tobołami i workami. Zagadką pozostawała ich zawartość, ale wyraźnie znać było, że nie są to wyłącznie podróżne zapasy żywnościowe. Broni nie nosił, więc mógł być pacholkiem lub

koniuszym. Miał długie, spięte na plecach włosy. Dostyć chłodny dzień dawał mu się za pewne we znaki, dlatego właśnie w tej chwili zarzucał na głowę kaptur.

Zupełnie z tyłu, w odległości kilku kroków, jechał krasnoludzki wojownik, dosiadający potężnego górskiego kuca. Na jego plecach w specjalnej pochwie spoczywał krótki topór, drugi podobny przytroczony był do siodła. W sakwie za siodłem schowany był potężny obosieczny topór bojowy. Wśród bagażu dostrzec można było także dwie sztuki broni palnej.

Dziadunio przyglądał się jadącym długo i uważnie. Niewprawni obserwator opisałby ich zapewne jako pierwszą z brzegu świtę jakiegoś rycerza, złożoną ze zwiadowcy będącego najętym na miejscu naciągaczem i oszustem, który pewnie przy pierwszej nadarzającej się okazji ulotni się z częścią ekwipunku szlachetnie urodzonego, a także krasnoludzkiego ochroniarza, niechybnie opoja i z całą pewnością typa przedkładającego własne wynagrodzenie i swoje życie ponad życie pracodawcy, oraz mnicha i służącego. Drużyna, jakich wiele, gnana do przodu humorem i ambicją arystokraty, czy też zasobnością jego trzosu.

Jednakże Dziadunio nie był zwykłym wypatrywaczem. Pomimo wielu lat na karku jego umysł pracował bystro. Niezliczona ilość prowadzonych obserwacji dawała mu ponadto bogate doświadczenie, przydające się w ocenie podróźnych.

Drużyna, na którą teraz patrzył z zainteresowaniem, składała się z nieprzeciętnych podróźników.

Rycerz miał intrygujące pochodzenie, co denerwowało Gobba, gdyż nie mógł dociec, z której dokładnie części Kontynentu tamten przybywa. Gdyby musiał, Dziadunio pewnie obstawilby północną. A na Północy rzadko który wojownik zostawał rycerzem. Uważny i rzetelny zwiadowca, doskonale znający te strony, wioził w kołczanie strzały z shaeidańskimi grotami, a sam łuk, którym się posługiwał, mógł być wykonany na modłę Starszego Ludu. Mnich i posługacz mogli być po równi skrytobójcami, jak i czarodziejami. Sądząc po wyglądzie bagażu młodzieńca, można było przyjąć jako prawdopodobne to drugie. Pozornie ociążały krasnolud nosił na plecach specjalną bojową pochwę umożliwiającą błyskawiczne wyciągnięcie oręża. Gobb widział już zastosowanie tego wynalazku na własne oczy i od tej pory nigdy nie lekceważył niskich, przysadzistych wojowników. Broń palna, utrzymywana w nienagannej czystości, wskazywała na poważne traktowanie swojej profesji.

Drużyna ta była więc skomponowana z myślą o jakimś ważnym zadaniu.

Dziadunio śledził ich wzrokiem przez cały dzień, w myślach tworząc zarys historii, którą mogłaby wypełnić ta grupa awanturników.

Gdy zapadał zmrok, drużyna była już w głębi podgórskiego lasu, między pierwszymi skałami, w pobliżu doliny rzeki Pelt. Gobb patrzył jeszcze długo w ciemność, potem powolutku odbył wieczorny rytuał będący odwrotnością porannego – i zniknął w głębi domu.

Gdyby Gobb tylko wiedział, iż jego Cudeńko po wypowiedzeniu innych shaeidańskich słów potrafi wiele więcej... Dla przykładu *spoglądać w ciemność nocy jak za dnia*.

Lecz Dziadunio nie miał o tym pojęcia, a poza tym wyuczonym od lat nie znał innego zaklęcia. Gdyby jednak potrafił zajrzeć w ową „ciemność”, dostrzegłby na trakcie poruszającego się samotnie jeźdźca. Jeździec ten, odziany na czarno, podążał za drużyną, trzymając się w bezpiecznej odległości. Stary wypatrywacz nie był tego świadom, ale mężczyzna w czerni doskonale wiedział o istnieniu podglądacza. A dokładnie o istnieniu magicznego artefaktu. Powiedział mu o tym wibrujący sygnał amuletu, który nosił na szyi. Teraz, zatrzymawszy wierzchowca, zastanawiał się, co powinien uczynić. Przedmiot wypełniony magią Starszego Ludu z pewnością zainteresowałby jego mocodawców. Ale ewentualny cel był w olbrzymiej odległości od traktu. W dodatku najkrótsza droga wiodła przez nieznaną, ciemną puszcę. A drużyna już zniknęła wśród skał.

Nieznajomy w czerni podjął decyzję.

Zapewne wielu pytało w myślach każdego z Trzynastu, a i inne bóstwa nie raz mogły usłyszeć owe pytania, o przedziwne ukształtowanie terenu w okolicach Ringen. Jakiś szalony architekt w Wiekach Stworzenia musiał wpaść na isticie przewrotny pomysł.

Oto rzeka Pelt płynąca swoim górnym biegiem z impetem rozdzierała skały, tworząc malowniczy przełom, by skierować swój nurt na północ. Na północy zaś wpadała do Konstaju, najważniejszej rzeki Cesarstwa. Nim jednak zasilila wody tego potężnego, swoistego szlaku handlowego, rozlewała się przez wiele dziesiątek mil, szeroko, pomiędzy wysokimi skałami.

Dolina, którą płynęła rzeka, była otoczona przez gigantyczne bagna i torfowiska, niezwykle zdradliwe i trudne do przeprawy. Kiedyś okoliczne tereny były gęsto zasiedlone, bo żyzna gleba zapewniała wspaniałe plony. Okazało się jednak, iż bagna przyciągają nieszczęście. Przez setki lat liczne orcze bandy zapuszczały się w te strony, mordując i grabiąc rolników, paląc ich sioła i oblegając grody. Także kompanie ludzkich rozbójników bez końca niepokoili mieszkańców.

Lecz to orkowie ściągnęli na moczary prawdziwe Zło. W zakładanych przez siebie obozach na wyspach wśród bagien zaczęli modlić się do swych plugawych bóstw i poczęli przyzywać mroczne stworzenia, które rozpleniły się wśród uroczysk. Ludzie opuścili te tereny, pozostawiając jedną strażnicę, jeden gród, który jednak mocno ufortyfikowano, a z biegiem czasu obok niego powstało miasteczko.

Ringen, bo tak się nazywało owo miasteczko, strzegło szlaku, najdziwniejszego *pomysłu* wspomnianych boskich architektów. Szlak wiódł wierzchem naturalnej grobli, utworzonej ze skał, która jak antyczna włócznia przecinała mokradła, z północnego zachodu na południowy wschód. Rzeka radziła sobie na różne sposoby z pokonaniem tej przeszkody. Głęboko pod ziemią drążyła kanały, a w niektórych miejscach przelewała się górą. Wtedy jadący szlakiem musieli pokonywać liczne, ale bezpieczne brody. A droga była uczęszczana pomimo złej sławy samych bagien.

Gościniec prowadził bowiem na znajdujące się na południowym wschodzie Pogórze. Tam zaś Cesarstwo zaopatrywało się w drogocenne kruszce i minerały, korzystając głównie ze starych krasnoludzkich szybów i kopalń. Tak żądza bogactwa rywalizowała z zabobonnym strachem przed złem. I zdawać by się mogło, że im Cesarstwo stawało się nowocześniejsze i bardziej zamożne, tym bardziej walkę przegrywał strach.

Rok temu jednakże wieści z Ringen przestały przychodzić lub docierały niekompletne, wypowiedane z przerażeniem. Kupcy zaś, którzy zdecydowali się na podróż szlakiem, nie wracali. Podobno wielu innych decydowało się nadłożyć kilkukrotnie drogi przez nie mniej niebezpieczne tereny Równiny Bersud, byle tylko nie jechać przez bagna Ringen.

Rozniosła się wieść, iż na uroczysku niedaleko od szlaku osiedlił się czarnoksiężnik jednoczący pod swoimi rozkazami wiele orczych hufców. Jakiś czas później wieść ta dotarła aż do samych miast cesarskich, lecz nikt nie potrafił zaradzić problemowi. Podobno inkwizytor z poleceniem Świątyni Trzynastu miał rozwiązać kłopotliwą sytuację. A stała się taka, gdyż bogate złoża nijak nie mogły zasilić skarbców wszystkich zainteresowanych. Poza cesarzem spora grupa skupionych w gildiach i rodach kupców prowadziła interesy na Pogórze. *Este vremes...^x*, jak mawiali.

Magia, nie magia, herezja czy mroczne siły, wszystko to musiało ustąpić miejsca interesom i złotym monetom.

II - Wyspa

– Tchórze, śmierziele i psie syny – syczał ze złości krasnolud. – Nie dziwi, że fałszywi bogowie zesłali na nich zgubę.

Łódź zakolysała się, a krępy wojownik wzdrygnął się i niepewnie rozejrzał dookoła. Dobiegł go cichy śmiech.

– Psie syny, możliwe. Śmierziele, z całą pewnością – Koryntiasz Szrama spojrział złośliwie na krasnoluda – ale, co do odwagi, to komentarze chyba są nie do końca na miejscu.

– I Trzynastu nie obrażajcie, panie Bragg – dorzucił rycerz. – A przynajmniej w ich moc nie wątpcie, może was to kiedyś dużo kosztować.

– Komedianta uwagi mimo uszu puszczam, w teologiczne brednie się nie wgłębiam – mruknął Ziggo. – Ale ringeńskiego kurestwa ucieczkę skomentować musiałem. Nijak teraz nie wiemy, dokąd mamy płynąć. Przewodnicy, zanim zniknęli, nie raczyli nam powiedzieć.

Rycerz położył dłoń na ramieniu krasnoluda. Jednocześnie spojrzął w kierunku potężnego maga, siedzącego z tyłu łodzi.

– Mistrzu Paulusie... – Uśmiechnął się pod nosem. – Praktykowaliście bodaj, jak wy to nazywacie, „wykrywanie magii”. Czy jest możliwe byście wysledzili potężne źródło magiczne?

– Bo inaczej będziemy musieli ściągnąć tu krasnoludzkim rykiem bojowym orcze zastępy, co ponoć są na usługach owego potężnego źródła. I wtedy, mam takowe podejrzenie, nici z niespodzianki, którą źródłu szykujemy – dorzucił z rozbawieniem zwiadowca.

Krasnolud westchnął, a siedzący na dziobie młody mag, do tej pory wpatrujący się w gęstą mgłę i ciemności, odwrócił się i z zainteresowaniem spojrzął na rozmawiających.

– Zaiste – odezwał się niskim głosem Paulus. – Możliwe to jest, niezbyt dokładne, co prawda, ale możliwe. Czarnoksiężnik emanuje Czarną Magią. To część jego sposobu istnienia. Strach, który jest jego sługą, wynika z Domeny Mroku. Od pewnego czasu próbuję skupić swoje umiejętności na tej aurze. Powinno się udać.

– Kieruj nas zatem, mości magu. – Rag powiódł wzrokiem po mokradłach, próbując przejrzeć przez opary ciężkiej mgły. – Sprawdźcie oporządzenie, broń, zjedzcie coś z zapasów. Co do modlitw... Jak kto woli. Ja, z całych swoich sił, modlę się i modlić się będę. Za siebie i za was.

– Ha, młokosie! – Ziggo Bragg uśmiechnął się. – To nie żadna bitwa, coby przed nią trzeba chłopów od strachu opędzać, ale dobrze słyszeć takie słowa. Ja się nie będę modlił, ani śpiewał, ani zawodził, ale mam takie przeczucie, że moje topory niebawem zadzwięczą i zaśpiewają. I na to właśnie, a niech mnie, postawię baryłkę spirytusu.

Nim dziób łodzi uderzył o brzeg, Ragnar ze Svero zeskoczył na ląd, rozchlapując błoto. Szybko powiódł wzrokiem po okolicy i wyszarpał miecz z pochwy. Tuż za nim ruszył Szrama uzbrojony w sztylet. Dalej dwójka magów. Na końcu, z pewnymi trudnościami sygnalizowanymi zduszonymi jękami, na wyspie pojawił się Ziggo Bragg. Nie przestając mrużyć z niezadowolenia w głębi gęstej brody, warknął:

– Cholerna breja, pieprzone błoto, pewnie zaraz jeszcze zacznie padać...

Rycerz spojrział na niego i położył palec na ustach, nakazując milczenie, podczas gdy Koryntiasz zniknął w ciemnościach i oparach mgły, rozpoczynając rekonesans. Młody uczeń czarodziejskiego fachu odszukał korzeń starego drzewa i przycumował łódź. Drugi z magów zatrzymał się z przymkniętymi oczyma, kładąc dłonie na splocie słonecznym. Oddychał miarowo. Gdy otworzył oczy, lekko się uśmiechnął i szepnął:

– Dobrze trafiliśmy, na tej wyspie znajduje się uroczysko. Mrok pochodzący od czarnoksiężnika jest silny. Bez trudu go odnajdziemy.

– Czekajmy na Koryntiasza. – Rag przykucnął, dając znak reszcie. – Nie mamy szans na otwarte wejście. Musimy pójść bokiem, ominąć jak najwięcej orków. Gdy ich pan szczeźnie, uciekną w popłochu.

Krasnolud chrząknął.

– Ja tam mogę siec orcze łby, inne cholerstwa i plugastwa też mi nie straszne, ale na czarnoksiężnika chyba musimy mieć coś więcej niż naszą stal.

– Zakładam, panie – Paulus pokiwał głową i spojrział na rycerza – że masz jakiś plan lub pomysł, który wyrównuje siły.

– Szaleństwem by było was i siebie prowadzić na śmierć lub opętanie. – Rag spojrział uważnie na czarodzieja i krasnoluda, położył miecz na udach i sięgnął pod kolczugę. – Mam pewien atut w walce ze sługami Mroku.

Otworzył zaciśniętą dłoń i pokazał towarzyszom mały, delikatny przedmiot. Był to żelazny medalion, w którego środek wprawiono jasnoniebieski kamyczek. Zaciekawiony Gaspar wbił w niego wzrok, a Paulus delikatnie wyciągnął palce w jego kierunku. Medalion zadrgał, a mag na sekundę zamknął oczy.

– Prawdziwe Światło. – Z uznaniem popatrzył na rycerza. – Rzadki i potężny, druidyczny talizman. Potraficie go używać, mości rycerzu? Wszak Trzynastu sławicie^{xi}.

– Nie kłopotcie się, mistrzu. – Rag schował artefakt. – W północnych księstwach szanujemy zarówno wiarę cesarza, jak i tradycje naszych nordyjskich przodków. I wbrew temu, co opowiadają cezaryjscy kapłani, jest to możliwe. Bez potępienia i kar bożych.

– Dobrzeście trafili, mości panie. – Viltord zwany Ropuchą uśmiechnął się, ukazując pełnię przerażającego, zepsutego uzębienia. – Jak idzie o plotki, informacje i opowieści, wszystkie przechodzą, by tak rzec, przez moje uszy.

– Plotki mnie nie interesują. – Odziany na czarno nieznajomy pewnie skrzywił się pod nosem. Ropucha nie mógł tego jednoznacznie stwierdzić, bo większość twarzy wysokiego, chudego jegomościa skrywał cień rzucany przez kaptur. – Złoto trzymacie w garści, tedy mówcie prawdę.

– Grupa najemników czy, jak kto woli awanturników, przez was, panie dobrodzieju, opisana, była w Ringen przez ostatnie kilka dni – mówiąc to szeptem, Viltord pogładził z zadowoleniem dosyć pękaty skórzany miasek. – Trzymali się z dala od głównej sali zajazdu, wieczerzali na uboczu, z cicha starali się znaleźć łódź i przewodników, co by znali szlaki na bagnach.

– Dobrze wam idzie, panie Ropuch. – W głosie chudzielca zdało się wyczuć zniecierpliwienie. – Kogo najęli?

– Bracia Deetz popłynęli z nimi, wczoraj wczesnym rankiem. Celem była nawiedzona wyspa, co ponoć spodobała się czarnoksiężnikowi. Ugo i Golm dobrze znają północno-wschodnie uroczyska. Awanturnicy słono zapłacili i bracia zapakowali ich na łódkę. Co ciekawe, równie szybko jak wypłynęli, tak wrócili, na drugiej, mniejszej, w towarzystwie swojego kuzyna Ketzina. – Na twarzy mówiącego cały czas jaśniał uśmiech. – Wychodzi więc na to, że najemnicy, jak to mówią po cesarsku: „w rzyć się dali wycudzić”. I to przygłupom. A bracia z kuzynem chyba od razu wyczuli, że do samej wyspy nie ma się co zbliżać. Za dużo orczych bębnow i pozatruwanych strzał. Awanturnicy chyba po swoje złoto już nie wrócą. Tak jak i ten inkwizytor – zapowiadał kres mroku na bagniskach i co? I nie wrócił.

– Pewnikiem coś jeszcze macie mi do wyszeptania – mruknął nieznajomy. – Wszak w mieszkaniu monet sporo, jak pamiętam.

– A pewnie. – Ropucha oblizał wargi. – Pierwsze, co wam powiem, to że chatę braci Deetz znajdziecie na południe od głównej przystani, koło starego młyna, nieopodal wzgórza. Drugie, że najemnicy, a dokładniej prowadzący ich szlachcic, potajemnie zostawili w depozycie u właściciela zajazdu sporo bagaży, sakw i pakunków, i rzecz jasna wierzchowce. Trudno się będzie dostać na zaplecze karczmy, ale...

– Jam dobrze trafił, wyście się dobrze sprawili. – Mężczyzna odziany w czerń przerwał mu, ściszył głos i rozejrzał się dookoła.

Stali w wąskiej uliczce między magazynami, tuż obok zajazdu, ale w miejscu zacienionym. Dobiegał ich stłumiony szmer rozmów prowadzonych przed karczmą, ale nikt nie był w stanie dojrzeć ich sylwetek. Miejsce było ustronne, choć w centrum miasteczka.

– Spokojnie, mości dobrodzieju... – Viltord powiódł wzrokiem po okolicy. – Nie pierwszy raz umawiam się na spotkanie, które ma skrywać tajemnica, nikt nas tutaj nie podsłucha, nikt mnie nie śledził ani nikomu nie wspominałem o naszych interesach. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Zaprawdę, panie Ropuch, zacie się na robocie. – Chudzielec wykonał dwa szybkie kroki w kierunku zaskoczonego Viltorda, dłonią zakrył mu usta i wprawnym ruchem wbił pod żebra długie ostrze, wcześniej umiejętnie skrywane pod płaszczem. Mocno trzymając wijącego się konającego mężczyznę, szepnął: – Bo widzicie, zaraz po sprawdzonych informacjach, to właśnie dyskrecję cenię najbardziej.

Wiatr jest zawsze najważniejszy. W kwestii skradania się i podchodzenia do wroga zawsze największą rolę odgrywa wiatr. Koryntiasz, syn Liviasza, nazywany Szramą, doskonale znał tę zasadę. Nie raz uratowała mu ona skórę. Wiele razy także zapewniła pełny żołądek. Czy jelonek czy szlachecki ogar, każde z nich można było oszukać. Wszak to, czego nie czuć, zdaje się nie istnieć.

Tym razem było jednak trudniej, bo mężczyzna skradał się pośrodku terenu patrolowanego przez orcze grupy. A kreatury te, do których stworzenia nie przyznawał się żaden z Trzynastu, a i Starzy Bogowie zapewne nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego, były niezwykle groźne. Miały czuły węch, a na domiar złego, jak każda istota Mroku potrafiły wyczuwać aurę ludzkiego ciała. Widziały też doskonale w ciemnościach.

Szrama urodził się jednak, na całe szczęście – jeśli wziąć pod uwagę okoliczności – w miejscu, gdzie orkowie często uprzykrzali ludziom byt, i wiedział, jak z nimi walczyć oraz jak ich unikać. Specjalna maść, którą pokrył swoją opończę, zamaskowała jego ludzki zapach, ponadto tak dobierał ścieżkę szybkiej wędrówki, że prawie zawsze znajdował się po zawietrznej względem omijanych patroli. Dobrze dopasowane, szare odzienie sprawiało, że był niewidoczny na tle terenu. Poruszał się szybko i sprawnie, często zmieniał tempo i kryjówki. Tylko szaman lub czarodziej pośród orków byłby w stanie wyczuć jego aurę. Musiałby jednak wiedzieć, że jakiś człowiek znajduje się w okolicy.

Podstawowym atutem, który pozwalał Koryntiaszowi poruszać się tak bezpiecznie, był fakt, iż doskonale wiedział, gdzie znajdują się orcze patrole. Shaeidańska krew po części płynąca w jego żyłach dawała mu wspaniałą umiejętność: dar dostrzegania ciepła emanującego z ciała każdej żyjącej istoty. Był więc zawsze o kilka lub kilkanaście kroków przed strażnikami.

Po długiej wędrówce, mijając splecione korzenie nielicznych bagiennych drzew, dotarł do wzgórza w centrum wyspy. Tutaj teren wznosił się, a spomiędzy błotnistego gruntu wynurzały się pojedyncze skalne formacje. Za nimi, pół-shaeid dostrzegł pradawne ruiny,

budowle liczące niechybnie kilka tysięcy lat. Resztki strzelistych, kopulastych sal wylaniały się z oparów bagiennej mgły. Pozostałości kilku smukłych wież zdawały się drapać nocne niebo. Dotarło do niego, że budowle te z całą pewnością nie były dziełem człowieka.

Chwilę później poczuł niezwykłą moc tego miejsca – i zew swojej pierwotnej natury. Wzgórze było bardzo dawno temu miejscem kultu Starej Wiary. Monumentalne niegdyś zabudowania wzniesiono, zanim prymitywne ludzkie łodzie dobiły do miejsca, gdzie teraz wznosiła się metropolia nazywana Pergatum.

Chociaż Koryntiasz nie czuł żadnego przywiązania do wiary shaeidów, a całe życie spędził wśród ludzi, to niezwykle miejsce przyciągało go swoją wciąż żywą magią. Przetarł twarz, uprzednio zwilżywszy dłoń zimną wodą z bukłaka. Potrząsnął głową. Dojrzał coś, co skutecznie oddaliło niebezpieczny zew, uwalniając jego myśli.

Przy kamiennej ścieżce wiodącej do antycznej bramy wbito kilkanaście solidnych pali. Na trzech z nich można było dostrzec resztki ludzkich ciał. Zabici byli z pewnością szlachetnie urodzonymi, prawdopodobnie także rycerzami. Nosili resztki zbroi i można było zauważyć, że były to napierśniki cezaryjskiego typu. Do tego zdecydowanie cenne i bogato zdobione. Ciała nabite po lewej i po prawej stronie nie posiadały głów. Nieszczęśnik w środku zachował czerep, co mogło oznaczać, że został nabity na pal żywcem. Na jego zbroi widać było zniszczoną i ubrudzoną szatę. Niegdyś była biała, z wyszytymi i ułożonymi w kształcie koła różnobarwnymi kamieniami.

Szata inkwizytora ze Świątyni Trzynastu.

Rag w milczeniu podziękował Protejusowi^{xii}. Jego przypuszczenia sprawdziły się, na całe szczęście. Orczy strażnicy nie wchodzili na teren ruin. Wydano im taki zakaz lub po prostu obawiali się starych shaeidańskich czarów.

Legandy Mroku wspominały, iż Starsza Rasa została kiedyś splugawiona i ukarana za swoją pychę: wielu spośród shaeidów uległo przemianie w ohydne stworzenia, będące zaprzeczeniem swej pierwotnej natury. Przez tysiąclecia orkowie stali się największymi wrogami shaeidów, ale także wszystkich pozostałych istot. Kryli się w mroku nocy, w cieniach i jaskiniach, od czasu do czasu przypuszczając łupieżczy atak, jeśli tylko znalazła się siła zdolna narzucić im własną wolę i poprowadzić ich. Taką siłą był zapewne upadły czarodziej rezydujący na bagiennej wyspie. Orkowie byli mu potrzebni, chronili go fizycznie, obawiając się jego magii, byli równocześnie mamieni przez jego mroczną aurę, ale jako istoty prymitywne nie doznali zaszczytu obcowania z nim twarzą w twarz. Czarnoksiężnik, jak każdy spośród magów, uważał się za istotę wyższą. Prastare, zniszczone budowle były jego wewnętrznym królestwem.

Gdy Rag i jego współtowarzysze dotarli do skalistej części wyspy, pewnie prowadzeni szlakiem wyznaczonym wcześniej przez Koryntiasza, od razu poczuli emanację magii. Zrazu była to delikatna woń Magii Natury dobiegająca z kamiennych budowli. Chwilę po tym uderzyła w nich potęga Czarnej Magii, jakby falą przypominającą straszliwy smród. Dochodziła z kopulastej budowli usytuowanej wewnątrz ruin. Z każdym krokiem drużyna zagłębiała się w sferę władzy czarnoksiężnika. Po kilku chwilach wydawać się mogło, że zła moc wydobywa się spod ziemi, z każdego kamienia. Nawet obumarłe i śmierdzące drzewa były jej pełne.

Rycerz szedł tuż za zwiadowcą, więc nie był w stanie stwierdzić, w jaki sposób Mrok wpływa na Szramę, ale kilka razy rzucił okiem na maszerujących za nim. Masywny mag Ziemi Paulus szedł pewnie, na jego twarzy nie rysowały się żadne uczucia. Cały czas był skoncentrowany, szeptał coś pod nosem, niechybnie wypowiadając zaklęcia ochronne. Idący kilka kroków za nim chłopak o imieniu Gaspar wydawał się zdenerwowany. Pocił się straszliwie, co chwilę przystawał i wycierał twarz chustką skrywaną w obszernych rękawach szaty, co spotykało się z gniewnymi pomrukami idącego na końcu krasnoluda. Ziggo Bragg popędzał młokosa i bacznie rozglądał się naokoło, uginając się pod ciężarem potężnego plecaka i wielu przytroczonych doń bagaży. Ale Ragnar był pewien, że krasnolud się ani nie męczy, ani nie boi.

W trakcie wędrówki, cały czas modląc się do Trzynastu, młody rycerz owinął rzemień do którego przywiązany był druidyczny kamień o niezwykłej mocy, wokół nadgarstka, tak by w każdej chwili móc ścisnąć go w garści. Na niego samego moc Mroku, o dziwo, nie wpływała tak mocno, jak się tego obawiał. Czuł delikatny niepokój, ale paraliżujący strach, o jakim mu opowiadano, nie dotknął go.

„Wiem jednak, że ten strach może objawić się w każdej chwili”, rzucił do siebie w myślach. „Protejusie, Władco Miecza, Panie Dzierżący Tarczę, strzeż mnie, tako i Wy, moi Przodkowie, dodajcie mi sił w walce z Cieniem”.

Szrama zatrzymał się, dając znak. Przycupnęli w półmroku, pod łukiem utworzonym z gładkiego kamienia, zarośniętym ciernistymi krzewami. Magowie zbliżyli się, w oddaleniu pozostał jedynie krasnolud, trzymając wartę, pozostał jednak w odległości głosu. Rag mówił cicho ale wyraźnie:

– Powtórzę. Trzymamy się razem, pan Bragg pilnuje pleców Koryntiasza, Gaspar idzie obok mnie. Wasza dwójka bierze lewą stronę, tam gdzie widzimy zniszczoną wieżę, my idziemy prawą, przez kopułę. Wszyscy zorientują się, kiedy Paulus zacznie. To musi wywabić chociażby sługi czarnoksiężnika choć, jak mniemam, i w nim samym obudzi się ciekawość. Jesteś pewien, że nie wyczuł cię wcześniej?

Ostatnie słowa skierowane były do Władcy Ziemi. Ten, nie zmieniając wyrazu twarzy, odparł szeptem:

– Potrafię się maskować. Mógł wyczuć moją delikatną moc, nie mogę rzec z całą pewnością, że tego nie zrobił, ale jeśli nawet miało to miejsce, moc drzemiąca w tych murach – rozejrzał się – zmyliła go. To było kiedyś potężne miejsce. Jestem skłonny postawić dobry surenejski^{xiii} trunek w zakład, iż właśnie dla tej mocy Czarny Mag tutaj przebywa. Jemu podobni żerują na czystej magii, przeistaczają Światło w Mrok.

Zapadła smutna cisza, jakby każdy z nich analizował w myślach ostatnie usłyszane zdanie. Po chwili Ziggo Bragg sapnął i wymownym gestem dał do zrozumienia, że pora ruszać. Rycerz spojrział na każdego z towarzyszy. Zatrzymał wzrok na zwiadowcy.

– Wszystko w najlepszym porządku? Jakbyście zmarkotnieli z lekka, panie Koryntiaszu.

– E tam... – Zapytany delikatnie się uśmiechnął. – Plan jak plan. Ale prosiłem was, mówcież do mnie Szrama.

III – Prosto w Mrok

Paulus Brega, nazywany przez przyjaciół z Północnej Marchii^{xiv} Kamienną Głową, długo analizował układ terenu, przykładając dłonie do ziemi, badał jej zawartość. Wyczuwał kamienne fundamenty, sieć podziemnych korytarzy, poznawał rozkład skał. W końcu zgarnął dłonią garść ciężkiego, mokrego piachu, który zalegał na pokruszonej posadzce.

Gdy był już gotowy, wyszeptał kilka pomocniczych słów, skupiając się na istocie czaru, który miał stworzyć.

Uniósł prawą dłoń powyżej ramienia, co pomogło mu zakłąć energię Esencji. Z lewej wysypał piach na kamienne płyty u swoich stóp. To symbolizowało i jednocześnie wspomagało Sztukę Ziemi. Skupiając się wewnątrz na swoim Źródle Mocy, czarodziej połączył dwie Domeny Magii. Uformował z nich pewnego rodzaju „życzenie”. Przykucnął, i dotykając dwiema dłońmi podłoża, bezgłośnie rzucił czar. Rozpoczęło się, dowodziło tego narastające drżenie ziemi, trzask uschłych korzeni, grzechot kamyczków spadających z kamiennych ścian i toczących się po posadzce. Z miejsca, w którym stał mag, było widać wyraźnie, gdzie ruiny i skały ustępowały miejsca bagnistemu podłożu. Wzdłuż tej granicy cząsteczki i drobinki gleby, kamieni i pyłu uniosły się, wirując. Moc niezwykłego czaru stworzyła coś na kształt bariery zamykającej skalistą przestrzeń, odcinając ten teren od reszty wyspy.

Paulus lewą dłonią sterował wysokością zasłony. Gdy wzniosła się na wysokość dobrych kilkunastu łokci, pstryknął palcami. Czar ustabilizował się, a mag ruszył przed siebie, szybko znajdując schronienie na kamiennym postumencie. Wbiegł na schody wyciosane przed wiekami i zatrzymał się wyżej, w zniszczonej sali. Jej dwie ściany przestały istnieć dawno temu, lecz strop wydawał się solidny, więc stanowiła dobry punkt obserwacyjny i kryjówkę.

Wtedy dały się słyszeć bębny zwołujące orków. Potężny czar wyczuli szamani, a jego efekty było słyszeć i widać wyraźnie, nawet pomimo ciemności.

Nordyjski szlachcic wyciągnął miecz o szerokim ostrzu prosto przed siebie, szedł wolno, bacznie rozglądając się na boki. Młody mag trzymał się z tyłu. Obydwaj czuli drżenie ziemi i dudnienie bębnów.

Sala, do której wkroczyli, miała okrągły kształt, przykrywała ją na wpół zniszczona kopuła. Po niebie szybko przelatowały ciemne chmury, księżyc dawał mdlawą poświatę, a

widmo Mrocznej Magii narastało. Ściany lekko dygotały, na piękne przed wiekami elementy posadzki, teraz zniszczone i pokryte gruzem, spadał deszcz małych kamyczków.

– Panie – rzucił półgłosem Gaspar, wskazując dłonią prawą stronę sali. – Już są...

Rag przygotował się do obrony, podążając wzrokiem we wskazanym kierunku. Dostrzegł trzy postacie poruszające się szybko od cienia do cienia pomiędzy pradawnymi monumentami.

Szczupłe istoty wielkości człowieka nosiły na sobie czarne poszarpane szaty. Gdy pierwsza z nich z sykiem skoczyła ku rycerzowi, można było dojrzeć jej oblicze: twarz bladego mężczyzny, szeroko otwarte usta i oczy. Oczy wypełnione szaleństwem. Druga postać rzuciła się na Gaspara. Trzecia na moment zastygła w oczekiwaniu.

Ragnar pchnął szybko – zdołał przebić atakującego na wylot. Jelec rycerskiego miecza dotknął ciała. Smród dobiegający od chudzielca był straszliwy. Śmiertelnie ugodzony konał, dygocząc, ale zdołał dwiema dłońmi wpić się w ubranie Norda. Kolejny wróg szykował się do ataku. Rycerz kątem oka złowił także ruch przeciwnika, który już dopadał zaskoczonego Gaspara. Odziani na czarno byli niezwykle szybcy.

Rag próbował odepchnąć kolanem trafionego przeciwnika i wydobyć z niego miecz. Niestety umierający trzymał się kurczowo. Następny chudzielec był tuż-tuż. Wtedy przez ciało szlachcica przeszedł niepokojący dreszcz. Zrozumiał, że atakujący szepczą i mruczą jakiś rodzaj zaklęcia. Poczul nagle i nadnaturalne osłabienie. Dodatkowo salę zaczęły wypełniać opary ciemnej, magicznej mgły.

– Zbyt wcześnie – westchnął. Zaklął w duchu, słysząc wrzaski Gaspara, który prawdopodobnie także zorientował się w zamiarach istot w czerni.

Ścisnął w dłoni druidyczny medalion i wyszeptał wyuczone słowo. Salę zalało ciepłe, mleczne światło.

Spomiędzy zrujnowanych ścian kopuły błysnęło potężne magiczne światło. Choć krasnoludzki wojownik nie był przesadnie wierzący, ani też nie uznawał się za krzewiciela dobra na świecie, widok ten uradował jego serce. Biel była kojąca, zwłaszcza w takich okolicznościach. Nawet odgłosy wojennych bębnow orków wydawały się mniej niepokojące niż przed momentem.

Bragg stał w miejscu, w którym potężna wieża stykała się z budynkiem zwieńczonym kopułą. W dłoniach ścisnął stylisko obosiecznego topora, na plecach trzymał inny, krótszy. Pod nogami miał ustawiony plecak, w który wetknął drugi z krótszych toporów oraz parę przygotowanych do strzału pistoletów. Każdy z wrogów chcący dostać się od tej strony do kopuły będzie musiał przejść obok niego. Tutaj także rozpoczynały się strome i kręte schody prowadzące na wyższe kondygnacje wieży. Koryntiasz Szrama, uzbrojony w łuk i strzały,

wspiał się tam kilka chwil wcześniej. Z wysokości widział doskonale dużą część otwartego terenu. Ci spośród nieprzyjaciół, którzy nie wybiorą drogi obok krasnoluda, zostaną powstrzymani przez zwiadowcę.

Bębny grały, wypełniając skalne ruiny niepokojącym dudnieniem. Ziggo Bragg otrząsnął się z chwilowej euforii wywołanej pojawieniem się magicznego, druidycznego światła.

„Czy to aby nie za szybko?” Rzucił okiem na przejście, którego miał pilnować i wrzasnął, zadzierając głowę w górę: – Ruszam do kopuły, komedianie!

Wpadł do rozległej sali przez zdobiony portyk. Światło było niezwykle, nie oślepiało go ani przez moment. Poczul się pokrzepiony i jakby mniej znużony. Na środku, obok wysokiego postumentu stał Ragnar, trzymając w dłoni źródło jasności. W drugiej ręce dzierżył szerokie, okrwawione ostrze. Pod nogami rycerza leżał trup. Nigdzie nie widać było młodzieńca. Z kręgu światła z głośnym sykem uciekała dwójka ubranych w czarne szaty istot. Światło raniło je, a na pewno zadawało im cierpienie.

Tak jak przypuszczał, w sali nie było czarnoksiężnika. Krasnolud zaklął soczyście i wymownie spojrzął na rycerza. Ten jednak, zanim zdążył mu cokolwiek odpowiedzieć, został zaatakowany.

Z wysokości czterech, może sześciu łokci, zza jednej z figur, zeskoczył mężczyzna uzbrojony w dwie lśniące szable. Ubrany był w skórzany kaftan nałożony na obszerne, luźne szaty południowego kroju. Jego skóra miała jasny kolor, czaszka była gładko ogolona. Światło nie wyrządzało mu krzywdy. Podobnie jak jego towarzyszowi, ubranemu w ten sam sposób długowłosemu chudzielcowi o ciemnej jak heban skórze. Ten drugi trzymał w rękach długi kij zakończony z obydwóch stron żelaznymi kulami.

Napastnicy zaatakowali jednocześnie, w momencie, gdy krasnolud z rykiem rzucił się do przodu. Cios jednej szabli rycerz przyjął na klingę miecza, drugiego uniknął, umiejętnie balansując ciałem. Niestety, ciemnoskóry mężczyzna sięgnął go jednym z końców kija. Zduszony jęk towarzyszył brzydkiemu chrupotowi. Noga Ragnarą wygięła się w kolanie w nienaturalny sposób.

Krasnolud rzucił przed siebie ciężki topór i puścił się biegiem. Oręż sunął przed nim po posadzce. Jednocześnie błyskawicznym ruchem wydobył z pochwy na plecach toporek i cisnął nim w przeciwnika, nie przestając biec. Broń trafiła czarnoskórego w ramię. Uderzenie było tak mocne, że mężczyzna obrócił się wokół własnej osi, brocząc obficie krwią.

Ragnar zablokował jeszcze jeden cios, ale kolejnego nie był w stanie uniknąć. Otrzymał cięcie w udo. Krew chlusnęła na pokruszoną posadzkę. Przewrócił się, zasłaniając przed kolejnymi atakami.

Ziggo skoczył z rykiem, w dłoniach ponownie trzymając ciężki topór. Przeciął kij i drugie ramię rannego napastnika. Ostrze zatrzymało się dopiero na kamiennej podłodze, straszliwie tnąc ciało i kości.

Uzbrojony w szable nawet nie spojrzął na śmierć współtowarzysza. Jedną klingą dźgnął rycerza w ramię dzierżące miecz, drugą odciął mu lewą dłoń.

Ciepłe, kojące światło zgasło w jednym momencie. Ziggo Bragg zaklął.

Szrama wypuścił pierwsze dwie strzały. Dokładnie w momencie, gdy pociski dosięgły biegnących orków, zdał sobie sprawę z faktu, iż jasność wypełniająca zniszczoną kopułę zgasła. Zadrzał. To nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Nałożył kolejną strzałę na cięciwę i szybko rzucił okiem w lewo. W ciemnym pomieszczeniu kłębiły się opary tajemniczej, magicznej Ciemności. Niezwykły wzrok pół-shaeida przebijał się przez mroki nocy, ale mgła stworzona za pomocą Czarnej Magii blokowała go.

Magiczny Mrok wpełzał do dużego pomieszczenia wolno, więc Szrama widział jeszcze rozwój wypadków.

Rycerz wił się z bólu na posadzce. Krasnolud wywijał nad głową potężnym toporem, starając się zająć odpowiednią pozycję do ataku lub obrony. Obok krążył łysy, wysoki przeciwnik uzbrojony w szable. Koryntiasz widział tylko ciepłe zarysy postaci, ale domyślił się, że Ragnar jest ciężko ranny. Że ma strzaskaną nogę, lub obydwie. I że stracił dłoń.

Trzech kolejnych orków zdołało się przedrzeć przez magiczną blokadę Paulusa. Magia Kamieni nie była, widać, tak niezawodna jak obiecywał. Monstra biegły wolno, na ugiętych nogach, a ich długie ręce kołysały się pokracznie. W innych okolicznościach Szrama uśmiechnąłby się na ten widok. Teraz po prostu zaklął w duchu. I wypuścił strzałę, szybko nakładając kolejną. Pierwszy z przeciwników dostał w szyję. Nim upadł, charcząc, jego towarzysz chwycił się za oko, w którym utkwił grot. Trzeci ork przeturlał się umiejętnie za najbliższy zniszczony kawałek ściany.

Pod kopułą trwała już walka. Ziggo Bragg ruszył do przodu, tnąc płasko i nisko, a szczupły mężczyzna przeskoczył zręcznie nad toporem, wyprowadzając jednocześnie atak. Krasnolud otrzymał cięcie w plecy. Szabla najwyraźniej nie wyrządziła mu znaczącej krzywdy, bo przyjął obronną pozycję kilka kroków dalej.

Na zewnątrz, od strony magicznej blokady, nadbiegali kolejni wrogowie. Ten, który ukrył się wcześniej przed strzałami, wrzasnął do nich kilka słów w Czarnej Mowie. Nim zdołali zrozumieć sens ostrzeżenia, dwóch z nich padło od strzał. Kolejnych trzech czmychnęło w ruiny.

„Ocaleli na moment”. Szrama uśmiechnął się pod nosem, dodając w duchu: „Będą ostrożniejsi, ale da nam to czas”.

Raz jeszcze omiół wzrokiem pole ostrzału na zewnątrz, po czym szybko wymierzył w środek sali zwieńczonej kopułą.

Ziggo trzymał przeciwnika na dystans, jak wszyscy krasnoludowie, widząc w ciemności w naturalny sposób. Człowiek z dwiema szablami w dłoniach w mroku radził sobie prawie tak samo dobrze, ale trzymał się bliżej miejsc, gdzie padało słabe światło księżyca. Uciekał także od klębiącej się już teraz w większej części pomieszczenia magicznej mgły. Bragg wyczuł przewagę, cofnął się w ciemniejsze miejsce, upuścił ciężką broń pod swoje nogi i wyszarpał z pochwy na plecach mniejszy topór. To właśnie nim zranił poprzedniego przeciwnika.

Koryntiasz nawet nie zauważył, kiedy poręczna broń ponownie trafiła na plecy krasnoluda. Teraz mknęła już w kierunku wroga. A ten był zręczny, poruszał się sprawnie i szybko. Ostrze minęło jego żebra o włos, prawdopodobnie zahaczając o obszerny materiał. Ale właśnie wtedy na jedno uderzenie serca mężczyzna z dwiema szablami przystanął, po niesamowitym uniku pewnie stawiając obydwie stopy na posadzce.

Na taki moment czekał Szrama. Jego strzała poszybowała ze świstem. Gdy dosięgła celu, przebijając szyję wrogiego wojownika, krasnolud już rzucał się do przodu. Odcięta głowa potoczyła się po ziemi.

Ciemność gęstniała i pochłaniała już miejsce, w którym pod ścianą leżał ranny Ragnar. A na pograniczu mroku czaiły się trzy lub cztery postaci ubrane w czerń. Bragg przeklął głośno i wbiegł w Magiczną Ciemność.

Kiedy mrok wypełnił całą kopułę, ziemia i ruiny przestały wibrować. Nie było słyhać już charakterystycznego pomruku. Magia Ziemi zgasła. Słyhać było za to ochryply wrzask kilkudziesięciu orczych gardeł, dźwięk bębnow i narastający odgłos ciężkich podkutych butów.

Koryntiasz zwany Szramą westchnął, spojrzął na kopułę, schody prowadzące w dół wieży i szybko przeliczył pozostałe mu strzały.

„Kim jest chłopiec? Dokąd się udał? Jakiej magii użył? Gdzie go poznałeś? Co o nim wiesz?”

Pytania niczym ciernie wbijały się w jaźń Ragnarą ze Svero. Głos wewnątrz jego czaszki był monotony i natarczywy. Sprawiał ból.

„Jaki mieliście plan? Kim jest młody mag? Jak silną moc posiada?”

Po każdym z pytań w umyśle nordyjskiego rycerza wzmagala się świadomość, że w istocie nic nie wiedział o pochodzeniu i zdolnościach chłopaka. Gaspar był na pierwszy rzut oka bardziej pomocnikiem niż czarodziejem. Poznawał tajniki magii i każdego dnia starał się

dowiedzieć czegoś nowego. W trakcie podróży mówił nieraz, jak wielkim wydarzeniem dla niego będzie „prawdziwa nauka”. Potrafił przyrządzać ziołowe wywary, które koily ból i leczyły drobne rany. Nieliczne zaklęcia, jakie potrafił rzucić, skupiały się właśnie na uzdrawianiu.

Rag rozmawiał w umyśle z tajemniczym głosem, pragnąc, aby ów zamilkł. Kiedy powiedział już wszystko, co było mu wiadome, pytania nie przestawały się pojawiać. Tortura trwała.

Czas jakby się zatrzymał, rycerz nie wiedział, gdzie się znajduje, ale czuł wszechogarniający ból.

Otworzył oczy. Sala, oświetlona blaskiem pochodni i oliwnych lamp, posiadała niskie sklepienie, ozdobione starożytnymi płaskorzeźbami i malunkami. Nad głową Ragnara shaeidańscy wojownicy toczyli jedną z bitew z Siłami Ciemności. Na ścianach widać było misterne roślinne ornamenty przeplatane słowami w Dawnej Mowie.

„Jesteśmy podobni”, głos był cichy, ale niezwykle sugestywny, przyjemny w brzmieniu. „Urodziliśmy się na Północy. Mamy w sobie tę samą siłę, tę samą chęć przetrwania, właściwą Nordyjskiemu Rodowi. Tyle że ty zmarnowałeś ją, służąc cezaryjskim panom...”

Rag powoli poruszył głowę, zamrugał oczami i odszukał mówiącego. Całe ciało rycerza było obolałe i niezwykle słabe. Prawa ręka pulsowała bólem, podobnie jak lewe ramię, udo płonęło żywym ogniem, a drugiej nogi nie czuł wcale. Leżał na zimnym kamiennym łożu, przykryty lnianą tkaniną. Obok, na kamiennym stołku, na który narzucono liczne miękkie skóry, zasiadał mężczyzna. Jego łysa czaszka, starannie wygolona, pokryta była kilkoma tatuażami – jakimiś symbolami niewiadomego pochodzenia. Nieznajomy odziany był w wytworne, miękkie i delikatne, czarne szaty. Dłonie skrywał w obszernych rękawach.

– Nie masz prawa. – Głos rycerza drżał, był ledwie słyszalny. – Nic nie wiesz o mnie, nic nie wiesz o Północy, o mojej służbie... Czego chcesz?

– Wiem więcej, niż ci się wydaje. Posiadłem twoje myśli, pragnienia. Czuję, jak walczysz wewnątrz siebie. Z jednej strony, rycerski kodeks i zasady hołdu. Z drugiej, wiara Przodków i ten niezwykły Dar – magiczne źródło.

– Co mi zrobiłeś? – Rag rozglądał się po izbie, co utrudniały mu wciąż ciężkie powieki.
– Co zamierzasz?

– Ocaliłem cię od śmierci, niewdzięczniku. Jesteś cenny. Nie szczeniś jak pozostali – mrucał mężczyzna w czerni. – A przynajmniej nie w ten sposób.

Szlachcic milczał. Jego rozmówca wstał wolno, sięgnął w odmęty swojej szaty i wydobył mały przedmiot. Kiedy otworzył dłoń, Ragnar jęknął.

– Jak śmiesz dotykać Prawdziwego Światła? Nie możesz...

– Jestem panem magii. Każdej. A to Światło zostanie moim trofeum. O ironio, Światło stworzone, by rozpraszać Mrok, stanie się dlań pożywką. Wy, ludzie Dnia, gardzicie nami.

Upraszczać sens naszej egzystencji. Jesteśmy dla was czarnoksiężnikami. Ale dla nas samych jesteśmy Władcami Magii. Każdą Domenę możemy przekształcić w Mrok, by stała się naszą siłą. Zabrałem ci myśli, odebrałem ci artefakt, tak jak zabrałem życie twoim towarzyszom.

Te słowa zgasiły ostatni płomyk nadziei tłący się jeszcze we wnętrzu Ragnar. W umyśle ujrzał twarze: tajemniczego i złośliwego Koryntiasza, utyskującego na niewygodę, lecz szaleńczo odważnego krasnoluda, spokojnego i cichego Paulusa oraz młodego, pogodnego Gaspara.

„Ojcowie, obawiałem się tego, łudziłem się, choć czułem, że to prawda. Czyż zginęli przeze mnie? Światło miało nas ocalić, a teraz...”

– Nie powinieneś się obwiniać, a robisz to. Twój umysł, twoje serce wypełnia uczucie bezsilności. Nie mogłeś ocalić kompanów, wasz plan od początku nie miał szans. Jestem władcą myśli i posiadam władzę także nad wydarzeniami, które mają dopiero nastąpić. Postrzegam je. – W dłoni nieznanego zamiast kamiennego amuletu znajdowała się teraz kościana różdżka. – Dzięki temu... Zwykły czarodziej widziałby tylko ciąg niezrozumiałych obrazów pochodzących z przyszłości. Ja władam myślami, analizuję obrazy, wyciągam wnioski, dzięki tej różdżce mogę być Władcą Przyszłości.

– Pełnyś pychy. To da ci zgubę...

– Sięgam po to, co mi należy. I nie boję się nazywać moich pragnień. Ty możesz zwać to pychą. – Czarnoksiężnik szybkim ruchem ukrył magiczną różdżkę w jednej z sekretnych kieszeni wszytych w odzienie, uśmiechając się delikatnie. – Ja mam niezachwiane poczucie przyszłego triumfu. Widziałem go. I wiem, że stanie się rzeczywistością.

– Kim jesteś?

– Mówiłem już, że jesteśmy podobni. Zwań mnie Drish Ma-Kramma. Ale dawno temu, gdy nosiłem inne imię, byłem dumnym, szlachetnie urodzonym Nordem. Siły Natury, Przodkowie błogosławili moją matkę i mnie. Po narodzinach druidzi z naszego grodu rzekli rodzicom, że jestem wybrańcem. I kiedy nadszedł odpowiedni moment, oddano mnie kapłanom Starszej Wiary. Uczyłem się, nie przeczę, bardzo chętnie i z dużą łatwością. Ale gdy już świadomie odkrywałem wiedzę tajemną, czegoś zaczęło mi brakować. Jakbym natrafił na ścianę, na krawędź, a pragnąłem czegoś, co było poza nią. Nie mogłem nauczyć się więcej. Mądry opiekun wyjawiał mi przyczynę. Istnieją tajemne moce, przed którymi druidzi strzegą uczniów. Nazywają te moce Czarną Magią – łatwą do poznania, szybką w treningu, lecz śmiertelnie niebezpieczną dla uczącego się. Cóż, dla mnie była ona wybawieniem.

– Cóż uczyniłeś? – Ragnar słabł z każdym powolnym uderzeniem serca.

– Nie pozwolili mi wypełnić przeznaczenia, mamili mnie, odciągali od Prawdy. Od prawdziwej mocy. – Czarnoksiężnik zbliżył się do leżącego. – Po to, bym nigdy jej nie poznał. Uciekłem. Tułałem się, lecz Moc czuwała... Powiodła mnie na odległe Południe. Tam otrzymałem szansę. Stałem się tym, kim jestem obecnie.

– Przodkowie cię przeklęli...

– Może. – Ma-Kramma zadumał się, pochylając się nad ciałem rycerza. – Umiałem wykorzystać ich klątwę, obrócić ją. A czy ty czujesz się przeklęty? Wierzysz w Przodków, Moc Natury czy w Trzynastu, którzy noszą Pęta? Słyszysz Pólnocy, swojemu księciu czy cesarzowi? Nosisz w sobie druidyczne źródło, a zmarnowałeś je, zostając ledwie rycerzem?

Ostatnie słowa czarnoksiężnika jadowicie wpiły się w umysł nordyjskiego szlachcica. Nie słyszał kolejnych. Usta odzianego w czerń poruszały się bezgłośnie, a jego twarz rozmywała się. Ragnar ze Svero próbował się jeszcze pomodlić, nim jednak zdążył to uczynić, stracił przytomność.

Kościste dłonie drapały jego ciało, raniąc przy tym duszę i umysł. Jad wpuszczony do jego wnętrza był nie do zniesienia. Każdy oddech był niesamowitą męczarnią. Ale Ragnar oddychał.

– Dokąd to się wybierasz, mości rycerzu? – Czarnoksiężnik śmiał się cicho. – Ja zdecyduję, jak i kiedy opuścisz ten plugawy padół. Przytrzymajcie go, moje dzieci...

Szlachcic zrozumiał, że kościste palce nie były częścią majaków. Powoli wracała mu świadomość. Próbował się lekko poruszyć, ale dłonie unieruchomiły go. Teraz widział już, choć nadal niewyraźnie: pochylały się nad nim istoty o chudych, kościstych obliczach, białych i chorowitych. Trzymały go, mocno. Postrzępione szaty dodawały im upiornego wyglądu, podobnie jak rzadkie czarne włosy, które w nieładzie spływały im na ramiona. To jedną z tych czarnych istot zabił pod kopułą.

– Dwie rzeczy spowodowały, że utrzymałem cię przy życiu... – Ma-Kramma przerwał i popatrzył na twarz leżącego. – O, przyglądasz się moim podwładnym. Wywołuje to mój smutek. Bo między innymi przez ciebie straciłem trzech z nich. Ty zabiłeś jednego, twój krasnoludzki brutal zaszlachtował dwóch kolejnych. A trudno jest w tak pospolitej okolicy odnaleźć dobrych uczniów. Wielu ich opuściło mnie w ostatnim czasie. Zbyt wielu. Ten obłąkany kapłan-inkwizytor i jego świta też zabrali mi kilkoro dzieci. A przecież to niewinne istoty. Potrafią zaledwie kraść witalne siły. Chcą jedynie realnej mocy. I mojej łaski, rzecz jasna. Któryś z nich zostanie kiedyś moim prawdziwym uczniem.

Ostatnie słowa upadły mag wypowiedział z niezwykłą czułością.

„Jest obłąkany”. Rag był pewien. „Magia Cieni dała mu wielką potęgę, ale odarła go z człowieczeństwa”.

– Ale do rzeczy... – Ton głosu czarnoksiężnika zmienił się. – Wspominałem o dwóch powodach. Nie myśl, że żyjesz tylko dlatego, że jestem okrutnikiem i bawi mnie znęcanie się nad konającymi. Bawi mnie rozmowa z tobą, czy też zagładanie w twój jakże szlachetny umysł. Jesteś bystry, mądry i dobrze urodzony. Niezbyt często mam szansę na inteligentną

konwersację z kimś w kogo żyłach płynie szlachetna krew. Ostatnio, przed tobą, zamieniłem kilka słów z mości Tyrmandem De Gea. To ten dureń ze Świątyni Trzynastu. Dureń, ale wysublimowany, obyty w świecie, choć przesadnie religijny. I nawet nieco zabawny. Choć jemu samemu, z całą pewnością, do śmiechu nie było...

Ragnar próbował się poruszyć, ale uścisk wielu żyłastych, bladych rąk był silny. Dopiero teraz dostrzegł i poczuł, że jest nagi. Na jego ciele czarnym atramentem lub farbą wyrysowane zostały tajemnicze znaki.

– Drugi z powodów jest istotniejszy. Powiedziałem ci na początku naszej konwersacji, iż widzę w nas podobieństwa. Nie kłamałem. Łączy nas pochodzenie oraz to, że otrzymaliśmy Dar. Dar Starszego Ludu. W naszych żyłach płynie cząstka, kropelka najpewniej, shaeidańskiej krwi. A w naszych wnętrzach tętni Źródło.

IV – Czas i sen

Nordyjscy kapłani natury, na Południu nazywani druidami, wierzyli, że każde gasnące życie zastępowane jest na świecie przez rodzące się. Nauczali, że wszelki ból i strata stają się początkiem nowego życia i nowej nadziei. Ragnar nigdy nie zastanawiał się, jak może wyglądać Ostatnia Chwila. Choć był w młodości pilnym uczniem, a swą edukację kontynuował później w świątynnej izbie, już u południowych kapłanów, wierzył w słowa doświadczonych wojowników: „Mężczyzna rozmyślający za życia o śmierci jest w istocie martwy”.

A Ragnar chciał żyć. I choć nauki zakonników Bractwa Trzynastu Kamieni^{xv} wyraźnie opisywały, jak istotna jest służba dla Spętanego o imieniu Cranius^{xvi} i jak ważne są dary mu składane, młodemu szlachcicowi bardziej odpowiadały żołnierskie maksymy niż kult Pana Dobrej Śmierci.

Kiedy jednak przyszła doń chwila śmierci, daleko w głębi cezaryjskiego kraju, tysiące mil od śnieżnych, nordyjskich gór, poczuł strach. Nim zdołał zrozumieć jego naturę, oddać mu się lub go pokonać, ogarnęła go ciemność.

Nie dane mu było doznać wizji Tego, Co Następuje Po Życiu, nie połączył się również z duchami swoich Przodków. Kiedy śmierć go zabrała, wciągnęła w Mrok, Ragnar ze Svero ocknął się po raz kolejny.

Każdy szczegół, który zauważał, miał teraz ogromne znaczenie, każdy zapach był spotęgowany. Skóra Ragnara na przemian płonęła, to znów zamarzała. Kolory, które dostrzegał, raz zdawały się być przytępione, by zaraz potem uderzyć go ze zdwojoną mocą swoim przesytem. Kamienny stół, na którym leżał chwilę przedtem, teraz nie istniał. Ragnar klęczał na podłodze wyłożonej grubym dywanem. Miał na sobie obcą w dotyku, skórzaną zbroję, chociaż wyraźnie pamiętał moment, kiedy plugawe istoty Mroku drapały pazurami jego nagie ciało. Moment ten, wydawałoby się, nie był odległy. Ale w tej chwili Rag nie był niczego pewien. Żyły w jego ciele tętniły, pompowały krew. Życie pulsowało w nim, a przecież śmierć już zamykała za nim bramy Podziemnego Świata.

Z trudem podniósł się, opierając ramieniem o kamienny filar zdobiony shaeidańskimi płaskorzeźbami. Tuż przed rycerzem znajdowały się drzwi, lekko uchylone. Zza nich nie dobiegał żaden dźwięk. Czuć było jednak woń kadzidel, woskowych i łojowych świec oraz słodkawego zapachu krwi.

Ragnar zacisnął dłoń na krótkim, szerokim mieczu i wykonał dwa trudne kroki. Zanim wszedł do pomieszczenia, rozejrzał się po długim, pustym korytarzu. Było ciemno, jedynym źródłem światła były dwie dopalające się pochodnie kilkanaście kroków w głębi oraz poświata bijąca od rozwartych drzwi. Gdy mijał portal, dobiegły go odległe odgłosy. Bulgoczące głosy,

szczęk broni i dudnienie bębnow. Orczych tarabanów. Coś kazało mu zawrócić. Jakaś myśl próbowała zakazać mu wykonywania kolejnych kroków. Ale Rag szedł. W komnacie było jasno, a źródłem światła nie były świece, ogarki lub pochodnie. Te właśnie ktoś zgasił. Dym bijący od nich wypełniał pracownię, która pełna była ksiąg, książek, fiolek, kufrów i regałów. Kilka stołów, kamienne ławy i półki zapełniały najróżniejsze komponenty, okazy flory i fauny – i sporo rzeczy, których natury szlachcic nawet nie śmiał się domyślać. Ściany obwieszane były arrasami i barwnymi draperiami.

Pośrodku sali, nad wykręconym w nienaturalny sposób ciałem odzianym w czarne szaty, stał chłopiec. Po kilku chwilach rycerz przypomniał sobie jego imię.

– Gaspar... – Ragnar wzdrygnął się na dźwięk własnego głosu. – Żyjesz, chwała niech będzie...

– Nie tym, których masz na myśli – dokończył młodzieniec. – Choć sam w to uwierzyć nie mogę, mości panie. Żyw jestem.

Nord zamrugał, wierzchem dłoni odgarnął włosy z czoła. W dłoni Gaspara jaśniał kryształ, emitując Prawdziwe Światło.

– Co tu się stało? – Ragnar wypowiedział te słowa wolno, próbując zebrać myśli. – Amulet, skąd...?

– Nie wiem, panie, czy sam jestem w stanie sobie wyjaśnić, co tak właściwie uczyniłem. I czy możliwe jest, że zrobiłem to sam.

– Ten człowiek, Ma-Kramma... – Rycerz wskazał na ciało w czerni. – Zabiłeś go?

– Myślę, że zabił się sam, próbując rzucić zaklęcie, to Światło go pokonało. Jego krew... Jego żyły chyba nie wytrzymały.

Istotnie, środek posadzki pokrywała kałuża krwi, a ciało czarnoksiężnika było zmasakrowane. W sali widać było także kilka innych powykręcanych ciał.

– Jego uczniowie...

Na korytarzu zadudniły kroki. Gaspar znieruchomiał, wyciągając przed siebie trzymany w dłoni artefakt. Ragnar uniósł miecz.

Ciężkie okute drzwi skrzypnęły.

– No, coście tak skamienieli? – Niska i przysadzista postać uśmiechnęła się w głębi bujnej brody, prezentując złote i srebrne zębiska. Krew, pył i posoka, najpewniej orczego pochodzenia, pokrywały każdy fragment ciała Ziggo Bragga. – Ja się wyśmienicie czuję, ale patrzycie na mnie, jakbyście co najmniej ducha zobaczyli.

– Bajki mówisz, gówniarzu, ot wszystko. – Krasnolud splunął, poruszając się szybko po komnacie. Zaglądał do kufrów oraz za zasłony wiszące na ścianach i na drewnianych

konstrukcjach. Podobnie postępowała reszta kompanii. Poza Ragnarem i Gasparem, którzy nadal stali nad ciałem martwego czarodzieja.

– Nie chciałem wam mówić, i tak byście nie uwierzyli. – Młodzieniec rozglądał się bezradnie. – Ale pan Bragg wyraźnie mnie obraża. No to mówię.

– Acz, jak sam przyznałeś, nie masz pojęcia, jak dokonałeś tego... Jak ty to nazwałeś?

– Koryntiasz zwany Szramą przeglądał księgi, zaglądając do regałów. – Zmiany Czasu?

– Śmiejesz się. – Paulus stał w pobliżu drzwi, przyglądając się dwóm szklanym kulom.

– Gdzieżbym śmiał...

– Łże, młokos. Schował się, po tym jak ukradł rycerzowi magiczne świecidełko, a ten mu tak mocno ufał. – Ziggo rzucił złośliwe spojrzenie w kierunku Ragnara. – Potem się zorientował, że to światło jest niezbędne w naszym planie, ale już było za późno, żeby wrócić.

– I zupełnie przypadkowo uratował nas przed czarownikiem. – Paulus wymruczał te słowa, pakując obydwie kule do skórzanej sakwy.

– Czy to było to, o czym ja myślę? – Głos Szramy dobiegał zza rogu, słychać było także charakterystyczny brzęk. – To była ironia? Zaczynasz się rozkręcać, mości magu. Następne muszą być już żarty, anegdoty i złośliwości... Znalazłem złoto!

Rycerz schylił się i przyjrzał dłoniom Ma-Krammy. Słowa wypowiedział wolno:

– Przedostał się do komnaty czarnoksiężnika z łatwością. Ominął strażników. Wiedział, jak użyć Prawdziwego Światła. Za dużo tego jak na przypadek...

Truposz ścisnął w jednej z dłoni rękojeść kościanej różdżki, jakby ostatnim gestem, tuż przed śmiercią, chciał jej użyć, a uderzenie serca później próbował ukryć ją w obszernym rękawie. Ragnar nie dostrzegł laski wcześniej. Ostrożnie odgiął zaciśnięte palce i delikatnie uniósł przedmiot.

– Wiedziałem, bo zajrzałem obok, zapytałem... Nie potrafię tego opisać... Inny Ja, ten z drugiej strony, podpowiedział mi, jakiego słowa użyć. Jak się skupić... A amulet zabrałem, mości panie, żebyś go za wcześnie nie użył, jak za tym razem...

Gaspar zamilkł.

– Za którym straciłem nogę, a później także rękę. – Ragnar spojrzął na chłopca uważnie. – Widziałeś także moją śmierć?

Krasnolud zatrzymał się. Szrama wychylił głowę zza kotary. Paulus nasłuchiwał z uwagą.

– I śmierć pana Koryntiasza, i mości krasnoluda też.

Bragg sapnął.

– Gaspar nie kłamie, drodzy kompani. Nie mam pojęcia, jak się to stało, jak to działa i komu mamy poza młodzieńcem podziękować za uratowanie skóry, ale sobie wybierzcie. Pomódlcie się albo nie. Faktem jest, że pamiętam rzeczy, które według waszych słów nie miały miejsca. Przynajmniej w tym świecie. I w tym czasie. – Szlachcic mówił wolno, patrząc na towarzyszy. – Nie pamiętam za to, jakim sposobem znaleźliśmy się w tym miejscu, jaki

plan udało nam się wcielić w życie, choć wspominaliście, że to ja wam przewodziłem. To wszystko jednak ma w tej chwili mniejsze znaczenie. Orkowie na jakiś czas dali nam spokój, a my mamy to, po co nas wysłano.

Szrama podszedł do Ragnara i wskazał na trzymany przez niego przedmiot. Rycerz zamyślił się – nie zwracał uwagi na kościaną różdżkę.

– W istocie, Panie Ragnarze, mamy to.

Krasnolud łypnął okiem. Paulus zbliżył się powoli. Gaspar zamyślił się i szepnął:

– Nim skonał, krzychał coś o artefakcie, wskazywał na mnie, ale nic się nie wydarzyło.

– Bo oszukałeś i jego, i ów przedmiot, z całą pewnością potężny. – Szlachcic przyjrzał się trzymanej lasce. – Był dzięki niemu, jak sądził, władcą czasu, mógł zaglądać w przyszłość. Czuł się bezpieczny. Tyle że nie wiedział, że można tę przyszłość zmienić.

– Nie wspominałem o tym wcześniej, jako że nie było okazji... – Koryntiasz Szrama oblizwał wargi. – Wiadomym jest, że za pokonanie czarownika i zapewnienie spokoju płaci Cesarstwo. Także kupcy dorzucają swoje. Za spokojne szlaki. Od Jeremiasza Galbo, którego mieliście sposobność spotkać, wiem także, że są ludzie gotowi zapłacić fortunę za tę kościaną laskę.

– Że niby nie ma jednego świata, tylko jest ich kilka? – Krasnolud nie dawał za wygraną. – I ty, taki niedorostek, akurat ty potrafisz tak przejść od jednego do drugiego?

– Jak dla mnie, panie, to są ich setki, albo i więcej... I to wcale nie jest przyjemne. – Młodzieniec drżał pod grubym kocem, próbując schować się przed deszczem.

Nad wyspę czarnoksiężnika nadciągnęła potężna nawałnica. Plany drużyny poważnie się skomplikowały. I bez deszczu mokradła były zdradliwe – teraz rejs w kierunku Ringen byłby szaleństwem. Rycerz rozpiął swój płaszcz na dziwnie powykręcanych, i wystających z ziemi korzeniach potężnego drzewa na wzniesieniu. Tam początkowo schronienie znalazł on, Gaspar i krasnolud. Ragnar szybko jednak wyruszył na zwiady i do tej pory nie powrócił. W konarach powyżej przycupnął Szrama, z łukiem gotowym do strzału, chociaż raczej niewiele widział w ulewnym deszczu. Paulus uparł się i rozpoczął obchód dookoła wzgórza. Chciał być pewien, że jego ziemne pułapki będą niezawodne. Wszyscy mieli nadzieję, że strach na wieść o klęsce czarownika i deszcz skutecznie zatrzymają orczych wojowników. Z każdą chwilą przebywanie na wyspie stawało się coraz bardziej niebezpieczne, kompani nie mieli jednak wyboru.

– Zgadzałoby się to, co mówisz, jeno trudno w coś takiego uwierzyć. – Bragg kręcił głową. – Rycerz wszystko przewidział: i czarnych chudzielców, i to, że orkowie znajdą luki w

barierze naszego łąsola, wiedział też o tych najmitach z Południa... Tyle że teraz twierdzi, jakoby niczego z tych chwil nie pamiętał...

– Kiedy dokonywałem Zmiany, przynajmniej ja tak to sobie tłumaczę, mogłem przekazać Panu Ragnarowi te wszystkie informacje. Przeżyłem to raz, lub co najmniej raz. W jednej chwili byłem Tutaj, Tam, a na dodatek jakby w różnych momentach czasu...

– Pokręcone to strasznie. Dobrze, że nie wierzę. – Krasnolud uśmiechnął się. – Jakby mi się jeszcze Spętani czy inne bóstwa wmieszały w mój spokojny i prosty żywot, żeby mi tłumaczyć wszelakie cuda i czary, chyba bym rozum postradał. Ważne, że żywi z tego wyszliśmy. I nie chcę już więcej o tym myśleć. Jedno mi tylko w głowie kołace...

– Mówcież...

– Jak tam „zmieniałeś” to, co trzeba było zmienić, to dużo się „pozmieniało”? – Krasnolud mówił wolno, ostrożnie cedząc słowa.

– Nie spodoba wam się, panie Bragg, to, co powiem.

Krasnolud milczał i patrzył uważnie, wyraźnie spochmurniał.

– Słaby jestem i początkujący, jak idzie o magowskie rzemiosło. A ta Sztuka Czasu to w ogóle rzecz, o jakiej się mało słyszy, nie uczą jej, bo nikt nie potrafi zrozumieć jej natury. Podobno jeśli bym zmienił zbyt dużo, czekałaby mnie śmierć. Magia *dba o to*, by świat zachowywał równowagę. Tacy jak ja, a jest nas pewnikiem bardzo niewiele, psujemy ten ład.

– Więc musimy mieć nadzieję, że „napsułeś” niewiele – mruknął Bragg, ale po chwili klepnął młodzieńca w ramię, mrugnął okiem i rozpromienił się. – Niewiele, ale wystarczająco, by nas przywrócić do życia. I tego się trzymajmy.

Nad mokradłami przetoczył się potężny grzmot, ale deszcz jakby zelżał. Do ukrytych pod rycerskim płaszczem ludzi podbiegł, rozchlapując błoto, Ragnar ze Svero.

– Paulus mówi, że zbliżają się orkowie. Ledwie kilku, ale boję się, że mogą chcieć nas zmylić. – Nord mówił głośno, przekrzykując ulewę. – Potrzebuję cię po południowej stronie wzniesienia, mości krasnoludzie.

Bragg dzwignął się i szybko przygotował ekwipunek. Szlachcic zwrócił się do młodego maga:

– Siedź tutaj i nie próbuj się oddalać. Wrócę po ciebie. Będę krążył w pobliżu...

Odwrócił się bokiem, zadarł głowę do góry i krzyknął:

– Szrama, zejź niżej!

Przez ramię spojrział na chłopca.

– Uratowałeś nas lub byłeś narzędziem w planie Spętanych, który miał nas ocalić. Tak czy inaczej, na jeden dzień mogło to być całym dobrem mającym nas spotkać. Pilnuj się. Nie kuś losu.

Mówiąc to, Rag uśmiechnął się i zaczął wspinać po korzeniach, idąc na spotkanie z Koryntiaszem. Tymczasem krasnolud pomknął niezdarnie na drugą stronę wzgórza, dzwoniąc metalowymi łuskami przypiętymi do skórzanej zbroi.

Chwilę później do uszu Gaspara dobiegła głośna rozmowa. Powyżej, rycerz i zwiadowca wymieniali informacje.

W szeleście deszczu i szumie wiatru młodzieniec wyłowił zaledwie kilka słów: „Miej bystre oko...”, „Nie widzę dokładnie...”, „Paulus spróbuje...”, „Pilnuj chłopca...” i coś o strzałach.

Tak, zdecydowanie. To było: „Dużo ich – oszczędzaj strzały”.

Trzy kreatury podeszły bliżej. Ragnar śledził wzrokiem najwyższego z wrogów, szerokiego w klatce piersiowej, z ogromnymi, nienaturalnie wydłużonymi ramionami, które przy niezgrabnym marszu w górę wzgórza obijały się o jego ugięte nogi. Tak jak jego pomocnicy nosił zniszczoną skórzaną zbroję z dosztukowanymi elementami z metalu. W dłoni trzymał krótką i szeroką szablę, na plecach przytroczony miał potężny pałasz. Niekwestionowany herszt. Lub prawa ręka wodza, jego emisariusz. Kiedy się odezwał, mężczyźni usłyszeli niski, basowy bulgot, z którego zdołali wyłowić kilkanaście słów w łamanym języku wspólnym^{xvii}.

Konwersacja trwała jakiś czas. Obydwie strony uważnie przyglądały się sobie. Monstra były uzbrojone i czujne. Za plecami rycerza czaił się Paulus, gotowy w każdej chwili zaatakować przeciwników.

Orkowie rozumieli sytuację. Ich szamani pojęli, co się stało. Niepewność dalszego losu w wyniku śmierci ich pana napełniała stwory Mroku przerażeniem. W krótkim czasie z bandy łupieżców wspieranej potężną magią stali się komandem o nieokreślonym celu. Chcieli odejść. Ale stawiali warunek.

– Nie oddawaj im żadnego przedmiotu. – Paulus bacznie obserwował przemawiającego wroga. – Niech cieszą się, że pozwolimy przeżyć pewnej części ich grupy. Nie wiemy, czy poza kontrolą nad nimi ten amulet nie posiada innej mocy.

– Myślisz, że ich szamani mogą użyć go przeciwko nam? – Szlachcic pokiwał ze zrozumieniem głową, nie spuszczając z przeciwników wzroku.

– Sztuka szamańska jest bliska Czarnej Magii, to możliwe.

Ragnar wciągnął powietrze i krzyknął donośnie, bo deszcz padał potężnie, wypełniając okolicę szumem:

– Idźcie precz! Nie musi ginąć już więcej żaden z was. Magia czarownika została zniszczona w całości. Nie ma amuletu. Jesteście wolni!

Wysoki ork słuchał i długo stał w milczeniu, pomrukując w głębi pogiętego, półzamkniętego hełmu z szerokim rondem. Ryknął do towarzyszy, a potem rzucił w kierunku ludzi kilka słów w plugawej Czarnej Mowie. Może była to zgoda na ich warunki, może też

przekleństwa mające ich przerazić. Tak czy inaczej, zdawać się mogło, że orkowie dali się przekonać.

Paulus poruszył się niespokojnie i krzyknął do rycerza. Gdy ich spojrzenia spotkały się, mag wskazał wzrokiem na swoją rękę. Na przemoczonym ubraniu, wraz z kroplami deszczu pojawił się zielonkawy nalot. Skórzany kaftan Ragnara także pokrył się osadem.

– Zakryj nos!

Paulus Brega schylił się z zadziwiającą jak na jego masę i gabaryty zręcznością. Nim dotknął dłońmi ziemi, by wzmocnić zaklęcie, tupnął nogą. Ork stojący po prawej stronie warknął, kiedy otworzyła się pod nim ziemia. Rycerz zasłonił twarz przedramieniem i skoczył w kierunku wrogów z wyciągniętą klingą. Ten stojący po lewej zdołał wykonać ledwie jeden krok, poślizgnął się i w następnej sekundzie zniknął, pochłonięty przez ziemno-błotną maź. Potężny przywódca nie oglądał się na boki. W dłoniach trzymał już ogromny pałasz i z przerażającym rykiem natarł na Ragnara. Ziemia zadrżała ponownie, nim doszło do zetknięcia się broni. Potworem szarpnęło. Jego ugięte nogi uwięzły w ziemi. Mimo to zdołał wyprowadzić szeroki, zamaszysty cios. Szlachcic uniknął go bez trudu i ciał z ukosa, kończąc uderzenie obiema rękami. Zakuty w żelazo czerep potoczył się po błotnistym zboczu i zniknął w jego dolnej części.

Chwilę później mężczyźni pędzili w kierunku drzewa, na którym siedział Koryntiasz.

V - Zguba

Szrama zawsze liczył strzały. Zawsze. Dzięki temu w tym momencie wiedział już, że nie jest dobrze. Deszcz skutecznie maskował orków nadciągających w grupach po dwóch lub po trzech. Shaeidański dar niezwykłego wzroku powodował jednak, że każdy stwór Mroku widoczny był dla strzelca doskonale. Biegli szybko w górę wzniesienia, a ciepło ciał zdradzało ich położenie. Padali, ale wciąż nadciągali kolejni. To musiało być cholernie duże komando.

Strzelec wyciągnął szyję w kierunku południowego zbocza. Tam, gdzie Koryntiasz nie mógł sięgnąć wrogów tak dokładnie jakby sobie tego życzył, *tańczył* krasnolud.

Bragg dał im się otoczyć. Weszli między trzy obumarłe pnie drzew. Trzy grupki – jakiś tuzin, może mniej. Najpierw, z morderczym furkotem, dwa toporki dosięgły celów. Kiedy orkowie zorientowali się, że jest pośród nich, miał już przewagę. Dwóch mniejszych przewrócił, wpadając na nich. Wysokiego, prawie czterołokciowego, ciął po nogach. I już był przy następnej zasłonie. Cztery kroki dalej dopadł do pierwszego ze swoich przeciwników, w biegu wyrywając z orczej głowy krótki, lekki toporek.

Rzucili się na niego ze wszystkich stron. Jeden niezdarnie się poślizgnął. Dwóch z prawej skoczyło z wyciągniętymi poszarpanymi szablami. Kolejny, wysoki, przeskoczył nad powalonym pniem i odciął mu drogę z lewej.

Krasnolud sapnął i cisnął toporkiem, skręcając ciało. Siła rzutu musiała być potężna. Ogromny bestia dostała w okolice szyi. Broń wbiła się w ciało całym żelazem, a czarna jucha chlusnęła na błotnistą glebę.

Bragg chwycił oburęczny topór w momencie, gdy uderzyły jednocześnie dwie szable. Niski wzrost uratował go przed pierwszym ciosem, metal zazgrzytał o szczyt szyszaka, krzesząc snop iskier. Unikając drugiego, krasnolud wykręcił się nienaturalnie, uciekając w bok. Ork wyprowadził silny cios, szeroko i od dołu. Zardzewiała klinga minęła kości policzka, w powietrze pofrunęły strzępy mokrych włosów. Dumnie noszona krasnoludzka broda, pełna warkoczy, kolorowych ozdób i obrączek, została zniszczona.

Ziggo Bragg zawył w furii. Przeciwnika stojącego za plecami trafił styliskiem topora w brzuch i rzucił się do przodu, wpadając między wrogów zaskoczonych jego mobilnością. Tego po prawej przewrócił barkiem, ciosu wyprowadzonego przez lewego uniknął, przetaczając się po ziemi. I uderzył zamasyście, będąc w przysiadzie. Jeden z orków stracił ramię, drugi

otrzymał paskudną ranę brzucha. Krasnolud był już kilka kroków dalej. Samotnie spotkany przeciwnik nie stanowił problemu, był słaby i unikał walki, wyraźnie przerażony. Bragg dał mu przeżyć na tyle długo, ile potrzebował czasu, by pooddychać w spokoju, odzyskując siły. Potem z rykiem rzucił się na niego, kątem oka dostrzegając dwóch następnych. Trafienie w okolice żeber było celne. Ork przewrócił się jak szmaciana kukła.

Bragg powoli podszedł do rannego. Wycelował w odrażającą twarz i dobił konającego ciosem podkutego buta. Zrobił to wolno, bo dwaj ocaleli z walki zamiast atakować ruszyli w dół, wycofując się. Rozejrzał się i odszukał swoje toporki.

– Jeszcze nie pora, byśmy się rozstawali. – Z lubością pogłaskał ich drewniane, zdobione runicznymi napisami trzonki. Przesunął się na jedną z wybranych wcześniej pozycji do zasadzki. – Jeszcze mi się przydadacie... Za kilka chwil przyjdą następni.

W momencie, w którym ich usłyszał, poczuł w ustach dziwny posmak. Do jego nozdrzy dotarł śwąd. Powietrze wypełniały zielonkawe opary.

– Niech szlag trafi te orcze pomioty i ich szamańskie zaklęcia.

Krasnolud zaklął, splunął zieloną śliną i pomknął w kierunku centralnego punktu wzgórza.

Na górze Koryntiasz Szrama przeklinał orków i wypuszczał z furkotem kolejne strzały. Przez szum deszczu przedostawały się pojedyncze głośnie ryki. Ziemia na wzgórzu drżała od zaklęć Władcy Ziemi. Daleko w dole słychać było orcze tarabany. Żaden z wrogów nie dotarł na szczyt wzniesienia. Jednakże powietrze zaczęło przybierać dziwną, zielonkawą barwę. Nisko przy ziemi pełzały opary nienaturalnie wyglądającej mgły.

Gaspar przyglądał się temu z niepokojem. Szrama nadal prowadził ostrzał. Teraz w ciszy.

Wtem z oparów wyłonił się odziany na czarno mężczyzna. Twarz miał obwiązaną jakąś tkaniną. Po mieczu przy pasie, czarnym płaszczu i wysokich, podkutych butach młody mag z ulgą rozpoznał Ragnara. Podniósł się z ziemi i wybiegł mu naprzeciw. Kilka uderzeń serca później znieruchomiał.

Zielonkawy już teraz deszcz spływał strumieniami na ziemię, skapując po ciężkim podróznym okryciu. To nie był rycerski płaszcz. Chłopak obejrzał się za siebie. Odzienie rycerza tkwiło między korzeniami potężnego drzewa. Gaspar poczuł strach.

Nieznajomy wyciągnął w jego kierunku lewą dłoń, prawą cofnął. Gdy Gaspar obracał się na pięcie, próbując jak najgłośniej krzyknąć, usłyszał dziwny, niepokojący odgłos. Grzechotanie i świst. Do prawego nadgarstka mężczyzny przymocowana była obręcz,

połączona długim, cienkim łańcuchem z małą metalową kulką. Kulka, owinięta na tę sposobność skórzanym kapturkiem, trafiła chłopaka w pierś.

Gdy Gaspar się przewrócił, próbując łapać oddech, napastnik dopadł do niego, wylewając mu na twarz dziwną substancję. Świat wyzbył się kolorów, a zaraz po nich i ostrości. Gaspar stracił kontrolę nad odrętwiałym ciałem i wkrótce ogarnęła go ciemność.

W oddali słyszał głosy swoich towarzyszy. Przekleństwa krasnoluda, niski głos Paulusa, krzyki Koryntiasza i nerwowe nawoływania Ragnara ze Svero. Choć właściwie nie był całkowicie pewien, czy je słyszy, czy może już śni.

Chusty zarzucone na twarz nie dawały wystarczającej ochrony. Krasnolud, silny jak tur, jeszcze nie odczuwał skutków trujących obłoków. Inaczej Koryntiasz, którego paliła skóra. Gardło płonęło mu żywym ogniem, a oczy łzawiły. Co gorsza, jego shaeidański wzrok odmawiał posłuszeństwa. Pościg prowadzili więc niejako na ślepo. Reszta drużyny też nie czuła się najlepiej. Paulus poruszał się wolno i szybko został w tyle. Ragnar krwawił z nosa i z ust, ale parł do przodu, w ślad za Ziggo Braggiem.

Mężczyzna odziany w czerń był nadludzko silny, choć zapewne niesiony przez niego młody mag nie ważył zbyt wiele. Jednakże szybkość, z jaką poruszał się uciekający, była imponująca.

Kiedy wydawało się, że już na dobre zniknął w zielonkawych kłębach dymu, rycerz i krasnoludzki najemnik dostrzegli go. Zwolnił, a nawet na moment zatrzymał się z prawą ręką wyciągniętą do przodu. Bezwładne ciało Gaspara zwisało na jego lewym ramieniu. Ścigający usłyszeli sekwencję słów wypowiedzianych w języku magii.

Przed odzianym w czerń otworzył się zielono-błękitny portal. Magia, która od niego emanowała, wywołała podmuch wiatru. Kłębiące się w tym miejscu opary zawirowały dookoła magicznych drzwi.

W momencie, w którym nieznamy na chwilę odwrócił twarz w kierunku ścigających go, z lewej strony, dał się słyszeć tupot podkutych butów. Obok portalu pojawiło się czterech orków. Przez krótką chwilę zaskoczone monstra spoglądały to na mężczyznę w czerni, to na podążających za nim ludzi.

Krasnolud nie zawahał się nawet przez moment. Z furią natarł na pierwszego, przewracając go na ziemię. Drugiego ciał na odlew. Odrąbał mu nogi i skoczył dalej. Przewrócony ork potoczył się w dół zbocza. Dwaj następni przygotowali się na odparcie ataku. Nim Bragg zdążył do nich dopaść, obaj zostali trafieni strzałami: w szyję i w głowę.

Rycerz wyminał ich z prawej i skoczył w kierunku portalu, który emanował już taką energią, że trująca mgła została całkowicie odepchnięta. W promieniu kilku kroków powietrze było przejrzyste, a krople deszczu rozpraszały się w delikatną mgiełkę.

Porywacz doskonale rozumiał sytuację i nie czekał dłużej. Rzucił ciało chłopaka przed siebie. Niezwykła, świecąca raz błękitnym, a raz zielonym kolorem powierzchnia pochłonęła Gaspara. Nieznajomy skoczył, unikając szerokiego ciosu nordyjskiej klingi.

Kiedy portal zamykał się za odzianym w czerń, doszło do eksplozji. Całą okolicę zalała fala światła i potężnej energii. Przerażający krzyk bólu dobiegający z wnętrza ucichł nagle, wraz ze zniknięciem magicznego przejścia. Ciałem rycerza rzuciło na dobre kilka kroków. Krasnolud zwinął się na ziemi, z trudem utrzymując w dłoniach oręż. Wybiegającym właśnie z mgły Koryntiaszem szarpnęło. Z oddali dobiegła seria przekleństw, wykrzyczana niskim głosem z wyraźnym nordmaarskim akcentem.

Przez dłuższą chwilę każdy z mężczyzn był oślepiiony. Gdy odzyskali już wzrok, okazało się, że magiczne wyładowanie rozwiało mgłę daleko poza wzniesienie. Choć w górze kłębiły się ciężkie, ciemne chmury, z nieba w tej właśnie chwili nie spadła ani jedna kropla deszczu. W zasięgu wzroku członkowie drużyny dostrzegli kilkudziesięciu orków, ogłuszonych i przecierających oczy.

Portal zniknął, a miejsce, w którym się znajdował, było suche i wypalone jakimś rodzajem magii. Widać było też sporo krwi, zniszczoną sakwę, resztki czarnych szat i coś jeszcze. Okrwawione ramię, owinięte skórzanym rękawem.

Tak niespodziewanie jak zniknął, deszcz pojawił się z powrotem. Lunęło ze zdwojoną siłą. To otrzeźwiło także orków. Nie mieli jednak ochoty na kontynuowanie szturmu, większość z przerażeniem rzuciła się do ucieczki. Kilku odważnych lub przesadnie głupich patrzyło jeszcze kilka chwil w kierunku drużyny. Potem oddalili się, śledzeni uważnie wzrokiem przez krasnoluda. Deszcz zmywał już całkowicie trujący osad pozostawiony na odzieniach przez mgłę.

Ragnar pochylił się i przeszukał szaty. Koryntiasz delikatnie i przesunął butem to, co zostało z oderwanej kończyny. Szlachcic zajrzał do podróżnej torby, powolutku wyjmując znajdujące się w środku zawiniątko.

– Obskurant – mruknął podchodzący do nich Paulus Brega, przyglądając się trzymanemu przez rycerza przedmiotowi. – Na pierwszy rzut oka widać, że to artefakt. A nosząc przy sobie takie rzeczy, powinien pamiętać o zagrożeniach. Istnieje sporo zasad korzystania z magicznych przejść.

– Miał kurwi syn szczęście, to tylko ramię. – Koryntiasz zwany Szramą wykrzywił usta w grymasie przypominającym uśmiech i zakasłał potężnie. Po czym splunął.

Ragnar ze Svero trzymał w dłoni niepozorną lunetę ozdobioną pismem shaeidów. Runy właśnie bledły, wcześniej rozpalone do czerwoności. Rycerz czuł silną magię bijącą od przedmiotu.

– Szczęście to miał nasz gówniarz, i to całkiem spore. – Ziggo Bragg uśmiechnął się. –
Bo go zamiast na ramieniu nieść Czarny przodem popchnął.

Szrama pokiwał głową z aprobatą.

– Zastanawia mnie tylko jedno... – Krasnolud rozejrzył się. – Gdzie teraz naszego
szczęściarza szukać?

Epilog – Co było, a co jest...

Głos nasilał się. Od ledwie słyszalnego szeptu po zrozumiałe słowa.

– Wróć, Fabiusie, wracaj. Zbudź się...

Głos należał do wysokiego, szczupłego mężczyzny o лыsej głowie pokrytej tatuażami. Wypowiadał słowa wolno, delikatnie, z wyraźnym południowym akcentem.

Mężczyzna nazwany Fabiusem powoli zsunął się z wyłożonego skórami łoża. Głowę wypełniał mu ból. Poza nim panowała całkowita pustka.

Wiele chwil później, gdy doszedł do siebie, rozejrzał się po bogato urządzonej komnacie. Zaczął przypominać sobie, gdzie się znajduje. Zdał sobie sprawę, kim jest. Zmrużył oczy. Wszystko wracało. Siedział na łożu, wsparty na licznych puchowych poduszkach. Zwrócił twarz w kierunku chudzielca. Ten ruchem ręki odprawił służbę, nalał wina do dwóch czarek i usiadł obok.

– Witaj, wielmożny Tuffnerze, niech złota nigdy nie zabraknie w twoich skarbcach. – Mówiąc to, podał trunek. – Czy pamiętasz, co się stało?

Fabius Tuffner, jeden z dziedziców potężnej kupieckiej rodziny, nadal wydawał się rozkojarzony.

– Co mi podałeś, Ismaelu? – Wymownym gestem wylał napój na posadzkę. – I w jakim celu mnie uśpiłeś?

– Zwą to *Kanniru Sulza*, Łzami Królowej. – Zapytany uśmiechnął się, spoglądając na rozlane wino. – To bardzo drogi specyfik.

Fabiusa zmroziło. Znał tę nazwę. Na szczęście uczył się lata temu, jak nie pozwolić uczuciom ukazywać się na twarzy. A czuł przerażenie zmieszane z niedowierzaniem.

– To starannie przygotowana antyczna trucizna. – Szczupły mężczyzna nazwany Ismaelem mówił spokojnie. – Nie ma znanych przypadków, by ktoś przeżył jej podanie...

Teraz Tuffner mógł wykazać się swoimi zdolnościami aktorskimi. Zbladł, a jego ciało przeszedł dreszcz. Oddychał ciężko. Rola nie była trudna do odegrania. Był prawdziwie przejęty.

– Cóż mówisz do mnie, przeklęty magu? – wychrypiał. Wstając, zatoczył się i natrafił ręką na stojący obok stolik. Pociągnął ręką barwny obrus. Przedmioty leżące na blacie potoczyły się po misternie zdobionych podłogowych kafkach.

Ismael pomógł mu wstać i poczekał, aż się uspokoi. Wtedy przemówił:

– Posłuchaj mnie uważnie, o Złotorządco. Nie przerywaj mi, nawet gdyby słowa moje wydawały się niemożliwością. Nie mając mojej wiedzy, możesz się dziwić, ale pozwól mi rozjaśnić twój umysł i odegnąć twoje wątpliwości. Zezwolisz na to?

Tuffner oparł się o łożo i kiwnął głową.

– Mówiłem ci o szczególnym darze, który mam dla ciebie. Dar ów jest niezwykle cenny, zwłaszcza dla człowieka, który trudni się piękną sztuką pomnażania złota i kosztowności. Pragnę ofiarować ci nadzwyczajną moc – w zamian za drobny udział w owym pomnażaniu. Czasy są niespokojne, a na czarnoksiężników lud i możni patrzą nadal podejrzliwie. Mnie nie przeszkadza pozostanie w cieniu, ale do prowadzenia moich badań jest niezbędna fortuna. Będzie dobrze, jeśli ktoś taki jak ty i twoja rodzina będzie prowadzić moje interesy.

Czarodziej wstał i zaklaskał w dłonie. Zza kotar zwiewnie opadających na wszystkie ściany komnaty wyłoniła się młoda kobieta. Ubrana była w miękką i powłóczystą białą szatę, spod której widoczne były zmysłowe kształty pięknych ud i pełnych piersi.

– Znasz to dziecko, o czcigodny – Ismael zwrócił się do Fabiusa. – Służyła w twej alkowie od momentu, gdy zamieszkałeś w mojej rezydencji, dzieliła z tobą łóżko... i nie tylko łóżko.

Kupiec zmarszczył brwi. Bezimienna półkrwi Sudyjka była oczywistym darem od czarownika. Zabawna, obdarzona czarującym głosem, elokwentna i bardzo zmysłowa. Szpiegowała dla swojego pana, to nie ulegało wątpliwości.

– Ta niewolnica posiada specyficzne umiejętności. Jest od urodzenia obdarzona Mocą. Jak większość mieszkańców południa, wywodzi się od shaeidów. Nie potrafi kreować zaklęć, tworzyć czarów, ale magia wypełnia jej ciało i umysł. I magia pozwala jej dokonywać rzeczy pozornie niemożliwych. Pozornie, gdyż przez wieki kapłani i magowie, przerażeni ową Sztuką, zdołali wmówić wszystkim, że takowa nie istnieje. Młoda kobieta, na którą spoglądasz, włada Czasem. Wiele trudu włożyłem w przygotowanie sposobności, abyś mi uwierzył. Dlatego zdecydowałem się, organizując starannie i odpowiednio długo okoliczności, na wykonanie pewnego planu. Twoi elitarni ochroniarze zginęli szybko. Doradca dbający o twoje bezpieczeństwo podzielił ich los. A ja sam podałem ci truciznę.

Tuffner nie odpowiadał, wpatrując się uważnie w przemawiającego.

– Umarłeś, o panie. Naprawdę. – Czarnoksiężnik westchnął i wskazał na niewolnicę. – Lecz gdy odchodziłeś, a dobra śmierć cię zabierała, ona zaingerowała. Wplotła nową nić odnalezioną w bezmiarze Czasu w twój, wydawałoby się, już przegrany Los. I naprawiła to, co spowodowały Łzy Królowej. Żyjesz. Istniejesz, o czcigodny. Tak po prawdzie, to nigdy nie podałem ci trucizny.

– Jak mam to pojąć? – Teraz umysł Fabiusa był już zupełnie przejrzysty. Pamiętał moment, w którym zorientował się, że trucizna działa. Pamiętał słowa...

– Konając, powiedziałeś: „To niemożliwe, nie masz celu, by mnie zabić...”

– Tak powiedziałem. Pamiętam to. Ale teraz mówisz mi, że to się nie wydarzyło...

Czarodziej zmarszczył brwi.

– To fenomen, którego natury jeszcze nie zgłębiłem. Dzieje się tak, że po jakiegokolwiek zmianie wprowadzonej przez Prawdziwie Widzącego, jak nazywam moich podopiecznych,

osoba mająca z nim silną więź ma świadomość Zmiany. Pamięta poprzednią rzeczywistość. Poprzednią Nić Czasu.

Kupiec skrętnie zanotował w pamięci wzmiankę o istnieniu *podopiecznych*, a nie *podopiecznej*.

– Ty też pamiętasz...

– Zaiste. Ja zainicjowałem cały proces. Widzący są tylko narzędziami. Potrzebny jest mag, aby ukierunkować zmianę.

– Dałeś mi z nią obcować, aby mnie oczarowała. Nawiązała *wieź*.

– Cieszę się, że pojmujesz to, panie. Mam także nadzieję, że przekonałem cię. Zaintrygowałem.

– W pełni. – Fabius sam nalał sobie wina i uśmiechnął się pod nosem. – Dziwny to, daleki od znanych mi sposobów zawierania kupieckiej umowy, ale jakże skuteczny.

Mężczyźni roześmiali się, uraczyli winem i podali sobie dłonie. Kupiec spojrzął na stojącą obok dziewczynę.

– Jak rozumiem, nie jest możliwym, byś podarował mi tę kobietę? – rzucił, delikatnie się uśmiechając, a gdy czarodziej odpowiedział mu wymownym uśmiechem, dodał: – Dostaniesz tyle złota i listów kredytowych, ile zapragniesz, to będzie wspaniała współpraca. Mam tylko jedną prośbę.

Ismael sięgnął do stojącego się obok stolika i ze znajdującego się nań kosza wybrał duże, czerwone jabłko. Zagryzł soczysty owoc i spojrzął pytająco.

– Teraz, kiedy mnie już przekonałeś, jaka potęgą władasz, nie musisz mnie, ani nikogo z mojej rodziny, w ten jakże dobitny sposób przekonywać ponownie.

Salę wypełnił serdeczny śmiech obydwóch mężczyzn.

Dziesięć dni później w małym portowym miasteczku nieopodal Pergatum mężczyzna nazywający siebie Fabiusem Tuffnerem spotkał się z tłustym, odzianym w czerń nieznanym. Przekazał mu trzy starannie złożone pergaminy. Siedzieli w przydrożnym zadymionym zajeździe.

– Czas gra tutaj zasadniczą rolę, Periosie. Przekaż moje rozkazy swoim ludziom, zarówno w stolicy, jak i w południowych miastach. Niech szukają. Niech poruszają niebo i ziemię. Przetrzęsą siola i przeszukają miasta. Chcę wiedzieć wszystko na temat ludzi, o których wspominałem. A teraz mów...

– Nie chcieliśmy wierzyć, panie, w to, co powiedział nam jeden z luzaków. Wolny strzelec, czasami pracujący dla nas, pojawił się z paskudnie oderwaną ręką w jednej ze świątynnych

czatowni. Chciał sprzedać nam informacje. Mówił o chłopcu... Młodym czarodzieju potrafiącym czynić niezwykle rzeczy. Opis jak nic, pasuje do...

– Obiektów poszukiwań. – Przerwał mu Fabius. – Gdzie teraz jest ten człowiek?

– Trzymaliśmy go przez kilka dni, ale wdało się paskudne zakażenie, a że nie wiedzieliśmy, że mówił cenne rzeczy...

– Żyw?

– Jak tylko dotarły wieści od was, panie, kazałem go ratować. Ale słabo z nim, nie wiem, czy nie szczył już. Jakem wyjeżdżał na spotkanie, dobrze z nim nie było. Ale gadać więcej nie chciał. Niby nikt znaczący, to się chłopaki nie starały...

– Niech was cholera! – Tuffner zagryzł zęby. – Macie go w Konstanzie?

Gruby mężczyzna przytaknął.

– Poślij im informację, że to nie Trzynastu, ale ja zdecyduję, kiedy ten człowiek zdechnie. – Fabius zebrał się spieszenie, rzucił na stół garść srebrników dla służby i szepnął: – Użyj kuli. Ja znajdę sposób, żeby dotrzeć tam jak najszybciej.

Kilka chwil później wskoczył na konia i pomknął w kierunku murów miejskich majaczących w oddali.

W głowie kotłowało mu się wiele myśli. Wiedział już, że chcąc dotrzeć na miejsce o czasie, będzie musiał złamać kilka zakazów, nagiąć kilka zasad. Ale wydarzenia ostatnich dni utwierdzały go w przekonaniu, że stawka, o którą walczy, jest wysoka. Gra się rozpoczęła.

Pędząc w kierunku bram miasta Pergatum, zastanowił się nad tym, jaką tożsamość ma przyjąć, paktując z czarodziejami. Fabius Tuffner nie był najlepszą opcją. To musi być ktoś mniej znany, ale z zasobnym mieszkaniem.

Gdy dotarł do podgrodzia, był średnio zamożnym kupcem sukiennym z Hilden o imieniu Haas. Ćwicząc twardy, nordmaarski akcent, starannie przygotował się do rozmowy. Tak, to brzmiało banalnie, niezbyt interesująco – i powinno wystarczyć.

Użycie magicznego portalu było całkowicie nielegalne, a nawet przeklinane. Było też kosztowne. I niebezpieczne. Ale czasami bywało niezbędne.

Nawet dla cesarskiego szpiega.

-
- ⁱ *Orc blut vremez, uns ax vremez* – dawne zawołanie bojowe w języku krasnoludzkim, tłumaczone, jako „Czas orczej krwi, czas naszych toporów”.
- ⁱⁱ *Pól-shaeid* – bękart, człowiek pół-krwi shaeidańskiej, w jego żyłach płynie krew Starszego Ludu, pradawnej rasy, prawie całkowicie wyniszczonej w walce z ludźmi.
- ⁱⁱⁱ *Vremes (Vremez)* – Jeden z Trzynastu, jedno z wiodących bóstw panteonu cesarskiego, kojarzone ze sferą czasu, losu, jasnowidztwa.
- ^{iv} *Nordowie* – Ród Północy, rasa ludzka zamieszkująca północ kontynentu, niezależni sojusznicy cesarstwa.
- ^v *Trzynastu Spętanych w Błogosławieństwie* – według legend i mitów pierwszy cesarz pokonał i zmusił do służby trzynaście potężnych boskich istot, które zostały patronami i opiekunami imperium, obecnie tworząc panteon cesarski.
- ^{vi} *Obijanie monet „na cesarsko” (po cesarsku)* – rozkazem cesarskiej mennicy wszystkie monety używane na ziemiach podległych władzy cesarza powinny być oznaczone (obite) oficjalnymi znakami lub wizerunkiem władcy.
- ^{vii} *Vanajagd* – tradycyjna nazwa terenów łowieckich, chronionych prawem cesarskim.
- ^{viii} *Łokieć* – miara długości, tradycyjnie, na terenie cesarstwa, to odległość mierzona od końca średniego palca do pachy.
- ^{ix} *Taeir N’ Og (Wyspa Za Mglą)* – mityczna wyspa znajdująca się na północny zachód od Kontynentu, gdzie według legend istnieją kolebka shaeidów oraz siedziby czarodziei wypędzonych przez cesarza.
- ^x *Este vremes, meste cesari* – tradycyjne, popularne na ziemiach Kontynentu przysłowie w języku cezaryjskim, tłumaczone, jako „Takie czasy, jaki cesarz”.
- ^{xi} *Druidzi* – będący kapłanami Dawnej Wiary związanej z kultem Sił Natury, postrzegani są nieufnie przez wyznawców oficjalnego cesarskiego Kultu Trzynastu Spętanych.
- ^{xii} *Protejus (Soldus)* – jeden z Trzynastu Spętanych, bóstwo opiekujące się sferą wojny, żołnierzy i zwycięstw bitewnych.
- ^{xiii} *Surenejczycy* – dumny pustynny lud zamieszkujący południowo-zachodnie tereny Kontynentu, wywodzący swoje pochodzenie od królewskich Rodów Południa.
- ^{xiv} *Nordmaar (Północna Marchia Cesarstwa)* – kraj lenny cesarstwa, słynący z wybitnych handlowców, światłych wykładawców akademickich i okrutnych najemników.
- ^{xv} *Bractwo Trzynastu Kamieni* – najważniejszy z zakonów kultu cesarskiego.
- ^{xvi} *Cranius (Cranios)* – Pan Dobrej Śmierci, Jeden Z Trzynastu, wiodące bóstwo panteonu cesarskiego, kojarzony ze sferą śmierci, opiekun umarłych.
- ^{xvii} *Język wspólny* – powszechnie stosowana, oparta w dużej mierze na języku cezaryjskim mowa awanturników, wędrowców i kupców.